



884-3



DYGASIŃSKI A.  
NOWELE

KOMPUTER

## ADOLF DYGASIŃSKI.

(1839—1902)

Dwadzieścia lat od śmierci Adolfa Dygasińskiego ubiegło d. 3 czerwca r. b. Ćwierć wieku prawie,—niemały to okres czasu, mocen pogrzebać w niepamięci sezonowe wielkości, sprzedające się drogo a szumnie na jarmarku aktualności literackich. Lecz czas nie zagraża indywidualnościom potężnym, których nie może zasypać piaskiem zapomnienia ze swej niewyczerpanej klepsydry. Do tych zwycięzców czasu, należy właśnie Adolf Dygasiński.

Póki żył, sława wlokła się za nim zwolna i ukradkiem, niby gnuśny maruder za zwycięską armją. Dotychczas jeszcze oczekuje na niego porządne miejsce w panteonie literatury wszechświatowej, obok Rudyarda Kiplinga, którego, — według zdania grupy krytyków z Antonim Sygietyńskim na czele, — przewyższa bogactwem obserwacji, szczerością, liryzmem, plastyką i polotem wyobraźni.



Dygasiński przez całe życie pracował w trudnych warunkach, walcząc o prawo bytu i tworzenia. Urodzony 9 marca 1839 r. w Niegosławicach nad Nidą (pow. Miechowski), studjował w warszawskiej Szkole Głównej, oraz w Pradze Czeskiej filozofję, lingwistykę, filologję. W powstaniu 1863 r. uczestniczył, jako członek organizacji i jako żołnierz. W r. 1871 osiadł w Krakowie, gdzie oddał się publicystyce, redagował i wydawał pisma periodyczne. Przeniósłszy się w r. 1878 do Warszawy, pracował dalej, jako publicysta, pedagog, oraz tłumacz dzieł naukowych J. H. Lewesa, J. S. Milla, Dittesa, Whitneya, M. Müllera, P. Bertha Seignobosa i w. in.

Wśród jego oryginalnych prac pedagogicznych miejsca naczelne zajmują: „Nauczanie bez książki“, „Pierwsze nauczanie“, „Jak uczyć się i jak uczyć innych“, „Lekcje o rzeczach“ i „Psychologia wychowawcza“. Wywarł znaczny wpływ na rozwój pedagogiki w Polsce. W zakresie publicystyki społeczno-polemicznej zasilał swemi utworami najpoczytniejsze dzienniki i wydawnictwa.

W r. 1884, mając lat 45, ogłosił pierwszy utwór beletrystyczny. W bogatej spuściźnie literackiej zostawił po sobie prawie 80 nowel, 10 powieści, 4 opowiadania dla ludu, kilka komedji i utworów dla dzieci, oraz przeszło 20 opisów życia przyrody.

Zachowując naturalistyczną metodę pisarską,

umiał jednak Dygasiński tworzyć symbole, godne najwybitniejszych romantyków. Zygmunt Wasilewski w cennem studjum o autorze „Godów życia“ nazywa go „Homerem walki o byt w przyrodzeniu“, twierdząc również, że „on jeden w literaturze polskiej życie zwierząt zadokumentował w sposób godny przyrodnika i wielkiego poety; on pierwszy powieść ludową z dziedziny twórczości egzotycznej przeniósł do literatury narodowej, pisząc ją językiem ludowym w duchu ludowym...“

Napisał z górą trzydzieści tomów powieści i nowel. W tym bogatym dorobku pierwszeństwo należy przyznać opowiadaniom, osnutym na tle życia wsi, z jej ludźmi, zwierzętami i roślinami. „Skarb obserwacji i skarb języka, — pisze A. Potocki w Polskiej literaturze współczesnej, — przynoszą te nowele pisane nierówno, to znaczy często bez płynności literackiej, ale z przeblyskami genialności, to znaczy własnej indywidualności o wszechludzkiem, choć z miedzy wioskowej lot biorącym napięciem.“

Przebogata puścizna po Adolfie Dygasińskim z trudnością dostaje się dziedzicom prawym, — ogółowi czytelników polskich. Skargę na to, a raczej oskarżenie przeciw bezprzykładnej banicji dzieł wielkiego pisarza wniósł niedawno Stefan Żeromski hetmańskim swoim głosem:

— „Zapomniany leży drugi władca innego obszaru mowy naszej, języka nizin i dalekości sło-

wiańskiej, lasów i pól, pracy w polach i po chałupach, Adolf Dygasiński... Ten pisarz bardziej nas zbliżył do praźródła mowy słowiańskiej, niż wszyscy pisarze ostatnich lat kilkudziesięciu razem wzięci... Któż kiedy wspomni o tym samoistnym człowieku, którego bezwzględne widzenie rzeczy, ogromu życia w jego całości i prawdzie bez cienia literackiej ozdoby, dało mu możność wykonania dzieł jedynych w swoim rodzaju nie tylko w naszej, lecz w powszechnej literaturze.

Wydania dzieł Adolfa Dygasińskiego są od lat wielu wyczerpane. Ani przebarwne powieści, wśród których króluje „As”, ani cudowny poemat o „Godach życia”, słusznie uznany za arcydzieło przez Miriama i najwybitniejszych krytyków, ani wreszcie tomy świetnych nowel, nie mają miejsca na rynku księgarskim. Pragnąc choć w małej części zmienić tak nienormalny stan rzeczy, wydajemy wybór niniejszy. Za radą i zezwoleniem córki i zięcia ś. p. Adolfa Dygasińskiego, pp. Zofji i Władysława Wolertów, pomieszczamy tu szereg najcharakterystyczniejszych utworów znakomitego pisarza, wśród których „Jazda ze Ziurdanką” posiada ustaloną sławę jako najczystszej wody klejnot polskiego humoru.

REDAKCJA.

JAZDA ZE ZIURDANKĄ.



Wielka była uroczystość 15 kwietnia 1870 r. w Szczurkowicach; dnia tego bowiem panna Eugenia Nogietkiewiczówna ukończyła lat siedemnaście, otrzymała od matki w darze pierwszą długą suknię, od ojca—złote bransolety, a w wigilję dnia tego, punktualnie o szóstej godzinie po południu, odbyła ostatnią w życiu lekcję z guwernantką francuską. Panna, raczej stara panna, Żaneta Jourdan, coś z dziesięć lat była w Szczurkowicach, przybyła zaś tutaj z Grzybienic, gdzie była także z dziesięć lat u innych państwa Nogietkiewiczów i tam pozyskała sławę, ponieważ wychowała panienkę również do długiej sukienki. Francuzka zestarzała się w Polsce; mówiono, że nawet zapomniała właściwego francuskiego języka, a przynajmniej — mówiła tak jakoś dziwnie, iżby jej żaden rzetelny Francuz nie zrozumiał. Była to osoba wiecznie cierpiąca na fluksję i wzdychająca, aby mogła wrócić do ojczyzny; tymczasem w r. 1870, jak sama mówiła, nie posiadała jeszcze tyle pieniędzy, iżby mogła pędzić we Francji spokojny żywot. A przecież napracowała się ciężko na obczyźnie; napracowała się

i nikogo niczego nie nauczyła. Po wykończeniu edukacji panny Eugenji Francuzka miała zamiar pozostać jeszcze pięć lat w Polsce i przeto przyjęła obowiązki lektorki w Sadełku, w domu siostry panna Nogietkiewicza ze Szczurkowic, u starej panny, która właśnie przyślepła, ogłuchła, a nadzwyczajnie lubiła czytywać francuskie romanse. Wyjazd ze Szczurkowic do Sadełka przypadł na 16 kwietnia, zaraz po urodzinach Gieńci.

Nikt się nie smucił z odjazdu guwernantki, bo jej tu nikt nie kochał; państwo z niej zwykle żartowali, często bardzo uszczypliwie, i nazywali ją Żurdanką; służba zaś i wogóle chłopstwo ze wsi każdej nauczycielce dawali nazwę Ziurdanki albo Ziurdanicy.

W nocy z 15 na 16 kwietnia różni ludzie w Szczurkowicach spali niespokojnie. Panna Jourdan marzyła o zmianie miejsca i pozycji; Gieńcia rozmyślała o swem wystąpieniu na świecie w długiej sukni; pan Nogietkiewicz dumiał przy lampie, jak tu napisać list do siostry. Co wyjął ze szuflady ćwiartkę listowego papieru, to ją zepsuł i listu w żaden sposób ułożyć nie mógł.

Trzeba wiedzieć, iż siostra pana Nogietkiewicza mieszkała niedaleko Pińczowa, on zaś — niedaleko Pilicy. Stosunki rodzinne były pomiędzy nimi dosyć rzadkie, głównie z powodu złej drogi, a także i całorocznych zajęć rolniczych. A jednak

wypadało utrzymywać koniecznie owe stosunki, gdyż wiedziano dobrze, iż stara panna musi umrzeć i majątek swój komuś zapisze. Komu? W tem był śęk. Więc wszyscy, jacy byli na świecie Nogietkiewiczowie starali się wraz z swojemi żonami, oraz dziećmi o względy panny Salomei, dziedziczki Sadełka. Niby to pan Błażej Nogietkiewicz ze Szczurkowic miał najwięcej sperandy: on w całej rodzinie, liczącej sześciu synów i trzy córki, był najmłodszy. Nawiasem mówiąc, o starym nieboszczyku Nogietkiewiczu krążył po okolicy dowcip; mianowicie, upatrywano pomiędzy nim a patriarchą Noem tę różnicę, iż Noe miał jednego tylko Chama on zaś — sześciu. Otóż, pana Błażeja przyzwyczajono się jeszcze za życia rodziców pięścić, a przez pieszczotę nazywano go Błahem, Błażkiem, Błażątkiem, błazenkiem i t. d. Ci wszyscy Nogietkiewiczowie rozeszli się po świecie. Jedni mieszkali aż pod Częstochową, drudzy pod Kielcami, inni — za Suchedniowem; jeden z nich wyniósł się pod jakąś Mławę, tak że zupełnie zginął z oczu całej rodzinie. Tylko więc Błażus i Salusia ciągle byli sobie najbliżsi; przeto najżywsze, o ile można, uczucia wymieniały Szczurkowice ze Sadełkiem, a Sadełko ze Szczurkowicami. Wymiana taka przynajmniej pięć lub sześć razy w roku miała miejsce, gdyż i dla tych serc, płonących ogniami rodzinnej miłości, ciężką do przebycia była blisko ósmiomilowa przestrzeń, bardzo błotnista zwykle.



Szkoła wyższa realna w Kielcach miała zaszczyt wychowywać wszystkich potomków płci męskiej rodu Nogietkiewiczów. Ale skałą, o którą się rozbijały intelektualne wysiłki tych filarów społecznych, była trzecia klasa, a w trzeciej klasie — tak zwana *reguła trzech*, oraz podobieństwo, proporcjonalność i symetryczność figur geometrycznych. Niektórzy z nich w drugiej już klasie zapuszczali brody i wąsy, a przeto nie potrzebowali trzeciej klasy, aby w niej dojrzewać. Błażuszek wszakże wykazywał wyższe zdolności i po sześciu latach męczących studiów nad realjami wyszedł z trzeciej klasy, unosząc na łono rodziny cenzurę, w której, oprócz nauki religii, rysunków i kaligrafji, w reszcie przedmiotów okazał postępy *małe i mierne*.

Nie należy się też dziwić, iż w nocy z 15 na 16 kwietnia pan Błażej miał kłopot z napisaniem listu do siostry. Według starego programu nauki, trzecia klasa traktowała składnię, a dopiero czwarta — stylistykę. Bądź-że tu mądrym ze składnią, gdy przyjdzie napisać list prawdziwie obywatelski... Z tem wszystkiem dziedzic Szczurkowiec zaczął kaligrafować: „Najdroższa Siostrzyczko“..... Ale zaraz okropne wątpliwości powstały w jego głowie, co się tyczy ortografji i wyrazów: *najaroższa i siostrzyczka*... Wziął świeżą ćwiartkę papieru listowego i napisał poprostu: „Ukochana Siostruniu.“

Ale co dalej pisać?... Wielkie są cierpienia płodzącego umysłu.

Niech słynie pan Błażej Nogietkiewicz, który choć się nigdy nie uczył stylistyki, napisał do siostry list wcale dobry. Boć stylistyka — to także ćwiek... List brzmiał:

„Bóg Najlepszy udziela nam tu zdrowia. Pysyłam Ci waniekę z karpiami i wyborną szynkę, którą można jeść na surowo. Marylka, oprócz serdecznych uścisków, przesyła Ci dwa garnce suszu i półtrzecia wianka grzybów prawdziwych; chciały Ci posłać i marynowanych rydzyków, ale zwietrzały. Cieńcia całuje raczki Najmilszej Ciotuni i przesyła dwa roczne kotki: Bielusię i Czarnusia. Przytem, jedzie do Ciebie nieoszaczowana Żurdanka, którą wszyscy prosimy i zalecamy, żeby tak w dzień, jak w nocy, czuwała nad zdrowiem Ukochanej Siostruni.“

Nareszcie autor listu podpisał się zamasyście, posypał swoje skrzydlate słowa popiołem z papierosa i szczęśliwy z czynu udał się na spoczynek.

Rano, jeszcze ciemno było, a już ekonom kręcił się około dworu, karbowy znowu około stodół, podczas gdy fornał, Łukasz Stokłosa, wytoczył z wozowni jakąś landarę, grat starożytny i, drapiąc się w głowę, nad czemś rozmyślał.

We dworze odbyła się narada między dziedzicem a ekonomem, panem Jabłuszko, którą to naradę pan Błażej tak zakończył:

— No, to niech Jabłuszko każe Łuce czemprędzej konie zakładać do landary i przed dwór zajeżdzać... Nim oni tu wszystko upakują, zejdzie dobra godzina i gotowi na noc nie dowlec się do Sadełka... Ale, ale... Zapowiedz też, mój kochany, ostro Łuce, żeby mi się w drodze nie upił, bo wygonię łajdaka na cztery wiatry.

Jabłuszko nacisnął czapkę na uszy, pośpieszył pod stajnię i zaczął rozmowę od łajania Łuki.

— Czemuż ty jeszcze nie zaprzęgasz, fanfaronie? Nie widzisz, kanaljo, jaki czas...

— Nie śtuka zaprzęgać, ino jak się dowlec tym kocimbrykiem, chodźby do Jędrzejowa, a zmiarkować, coby się nie roztelepał; — rzekł fornał, nie śpiesząc się bynajmniej.

— Głupiś! cymb... Nie twoja rzecz się w to wdawać. Chłop powinien słuchać, nie rozprawiać.

— Tać bez urazy wielemoznemu panu pedam, tać słucham... Tyło co potem syćko na mój łeb się zwali, żeśli ta buda kajniebądź na drodze roztrzaśnie i jesce tę Ziurdanę na wiek kaleką uczyni... I śkapy mi też takie kazują sprzęgać, co się już rychtyk w kieracie rusiać nie mogom...

— Cichol... — krzyknął Jabłuszko. — Duchem, gajgiem zaprzęgaj i zajeżdżaj przed ganek. A pały mi w drodze nie zaley gorzałą, bo ze służby wylecisz. — I odszedł ekonom z przed stajni, a idąc pod stodołę, sam do siebie mówił: — Alegant, bu-

łoński piesek!... Nowy powóz mu będą dawali w tyłą drogę!... Czy to dziedziczka jedzie, czy co?...

Swoją drogą Łuka markotny warczał coś pod nosem, a drapiąc się nieustannie w głowę, naładował worek obrokiem i wraz z dużą wiązką siana przytroczył do powozu. Potem konie wyprowadził ze stajni po parze i zaprzęgał je, klnąc okrutnie:

— Nastąp, psia jucho, łogawa!... Prru! A gdzieżeś zalażł, maszynol... Chłać mi zakazuje, ciego?... Któż mi to da na gorzałkę?... Czy to jadę z jaką ślachcianką? Albo się może ochlam za dwadzieścia groszy strawnego?... Niedoczekanie wasze!

Nareszcie Łuka zaprzęgał konie, splunął w ręce, zatarł, wziął bicz, śmignął na próbę, i usiadłszy na kozle, zajechał przed ganek dworu, trzasnąwszy parę razy z bata.

— Pakować rupiecie prędzej! — krzyknął Nogietkiewicz na lokaja, a potem znów zawołał na dziewczynę, uwijającą się po sieni: — Ruszaj do Żurdaneki, powiedz jej, że już zajechali.

Poczęto układać rozmaite paki, kufry, walizy, pudła i zawiniątka.

Ztyłu przywiązano wielki tłumok z pościelą, na kozioł wstawiono fornałowi w nogi duży kufer, a na siedzenie kozła włożono niemniej dużą walizkę; wewnątrz landary także całe zapchano. Atoli nie



można było już zmieścić sporej wanienki, napełnionej do połowy wodą, w której pływało z dziesięć sztuk żywych karp. Lokaj więc zameldował dziedzicowi:

— Jaśnie Wielmożny Panie, te ryby nijak się nie zmiejszczą.

— Muszą się zmieścić, rozumiesz?... Muszą! — wołał pan Błażej.

— Ha, jak muszą, to muszą! — powiedział sobie lokaj i począł z fonałem na nowo wszystko przepakowywać.

Pudełka, oraz zawiniątka porozwieszano w powozie po bokach i u góry, wanienkę zaś z rybami wstawiono guwernantce w nogi. Nareszcie przybyła i panna Jourdan; była blada, a twarz podwiązaną miała białą chusteczką, widocznie trapiła ją fluksja. W ganku żegnała się jeszcze guwernantka z panem i z panią domu, ścisła serdecznie uczenicę, a ocierając łzy, wsiadła do powozu i przesyłała ręką ukłony.

Łuka był cały w pocie, świeciły mu się nos i czoło, gdy skończył pakowanie; wtłoczył teraz na głowę wielką białą magierkę z różnokolorową cętą, przeżegnał się, siadł na wierzchu walizy, jak na wieży, zawołał „wio, wio;“ i ruszył z miejsca. Zaledwie landara dojechała do bramy dziedzińca, kiedy naraz pan dziedzic przypomniał sobie, że brakuje smarowidła do młocarni, więc wysłano lokaja, z blaszaną garncówką i z pięciu złotemi,

aby to wręczył fornałowi. Jednocześnie wpadła szafarka, błagając dziedziczki, aby w Jędrzejowie kupiono nafty, oraz cykorji, ponieważ w domu zabrakło.

— No, to niechże jeszcze kupi bułek za dwa złote; — rzekła pani Nogietkiewiczowa.

— Moja mamusiu, i landrynow za półtora złotego; — odezwała się z boku Gięncia w długiej sukni.

Z temi nowemi obstalunkami pobiegła za landarą pokojówka. Łuka obojętnie odbierał wszystkie polecenia.

— Mamo, mamoo... Oni kotki zostawili... — zawołała znowu Gięncia.

Dwa koty swawoliły, wyskakując po stołkach w jadalnym pokoju.

— Błaziu. Wyobraź sobie, oni nie zapakowali kotów, które Gięncia chce posłać Salusi, ubolewała pani Maryla Nogietkiewicz.

— A ślamazary, mazgaje jedne... Pieszoo już powozu nikt nie dopędzi... Zawołać mi tu ekonoma.

Jabłuszko właśnie przechodził koło okna, więc dziedziczka puknęła nań palcem w szybę.

— Mój Jabłuszko, wsadź no Maćka na Wilczatkę, niech leci za Łuką i odda te koty Żurdance do powozu; rozumiesz, do powozu..

Skończyło się nareszcie wszystko; Łuka palił z bata, a panna Jourdan ponieważ miała dużo

kłopotu ze swawolnemi kotami, przeto wsadziła je do ręcznego koszyka na robótki kobiece, gdzie zwierzęta owe z początku spały bardzo spokojnie, później zaś poczęły miauczeć przeraźliwie i pazurami drapać po wieku, oraz po ścianach koszyka.

Droga była dosyć śliska, gdyż w nocy spadło nieco deszczu; pod górę konie lazły z trudnością, wlokąc za sobą ciężką landarę, ze wszystkich stron pozamykaną. Z góry za to fernal dał szkapom swobodę i pędziły teraz bardzo raźnie. Atoli szybki ruch powozu sprawił, że woda w wanience poczęła gwałtownie bełkotać, czem się mocno zaniepokoiły karpie, gdyż fale rozbijały je nieustannie o boki naczynia. Ryby pluskały w górę i wodą opryskiwały Francuzkę, która w obawie o fluksję ciągle się musiała ocierać. Fernal w rozpędzie wjechał na jakiś kamień, czy na kłoc dzewa, co wstrząsnęło teraz landarą tak potężnie, iż fala wody wylała się z wanienki na kolana panny Jourdan. Nie dosyć na tem, bo jeden karp, trwożliwszej czy niepokojniejszej natury, chciał się uwolnić z naczynia, sprawiającego mu istną torturę. — wypłynął przeto na powierzchnię wody, przebijając się między spłoszonymi towarzyszami, i dał takiego susa, że wskoczył aż na głowę guwernantki; stamtąd spadł jej za plecy na poduszki siedzenia i bił ogonem tak silnie, że panna Jourdan poczęła wydawać okrzyki przerażenia. Właśnie Łuka zjechał już

z górki i żwawo popędził konie po równej drodze kiedy guwernantka z wielkim trudem podniosła się wśród mnóstwa pakunków, a pochylona nad wanienką wzywała fernala:

— E, e, furman, écoutez.

Łuka spojrzął ze swojej wieży wewnątrz powozu, zobaczył przerażoną twarz kobiety i odrzekł z głupowatą miną:

— I co ta pani Ziurdance do tego, cy kunie kute, cy niekute?... Tać im wczora kowal zabił w kopyta hufnale ze łbami tyłośnemi co kocie.

Karp, zmęczony podskakiwaniem, uspokoił się wreszcie, a wtedy Francuzka własnymi rękami włożyła go napowrót do wanienki.

W jakiś czas po tej małej przygodzie landara wpadła w ogromne wyboje i mocno się przechyliła na jedną stronę.

— Kłopa! Kłopa!... — wołała Francuzka. — Mon Dieu, mon Dieu....

Na ten krzyk Łuka znowu zajrzał wewnątrz powozu, poważnie rozpatrzył sytuację i rzekł flegmatycznie:

— Pani Ziurdanka pedają jacy, co je klapina na drodze'..., Ta jest kłapa, ino bywa jeszcze gorsza....

Sam zaś do siebie mruknął:

— Pierońska taka mowa; ledwo człek co niebądź rozumie, kiej taki cudak gadać pocznie'.



Z wanienki znowu się wody nieco ułało na kolana guwernantki; ale ryby były już spokojniejsze czasem tylko któraś wypływała pod wierzch wody, szeroko otwierała usta i prędko dawała nura. Naraz Łuka, jak szalony, zeskoczył ze swego siedzenia, zamotał z lekka lejce na żelaznym pręcie, stanowiącym poręcz kozła, i puścił się w drogę, którą landara już przebyła, a kłął ogromnie i wygadywał:

— Takie ci teraz psiewiary rzemieślnicy, iże nic po rozumie nie zrobią... Szukajże tu podkowy. nikiej wiatru po świecie, a nie znajdziesz, to ci ciarach ze zasług wytrąci.

Guwernantka nie rozumiała, co się stało; nie mogła pojąć, dlaczego Łuka zostawił ją samą w powozie i odbiegł koni, które zwolna poczęły się zbliżać do rowu, porośłego młodą trawką. Za lejcowymi końmi poszły dyszłowe; jedność dążności ożywiała tę czwórkę i powóz potoczył się nad brzegi rowu. Niebawem zsunęła się z kozła waliza, służąca Łuce za siedzenie: upadła najprzód na wielki kufer, odbiła się od niego i z łoskotem grzmotnęła na ziemię. Ten wypadek przeraził Francuzkę, ale nie zwrócił uwagi koni, z zajęciem szczypiących trawę; lejcowe weszły teraz w rów, gdzie była obfitość pokarmu; dyszłowe zdawały się zazdrościć lejcowym i łby chciwie w rów skierowały. Łuka tym-

czasem zupełnie skrył się za górą, poszukując zgubionej podkowy.

Naraz dyszłowe konie podskoczyły w rów, a lejcowe, wyparte stamtąd, wdarły się na brzeg przeciwny; za dyszłowemi końmi atoli wpadł przodek landary i z kolei wyparł na górę dyszłowe konie, podczas gdy tył powozu pozostał jakby zawieszony nad przepaścią. Wskutek gwałtownego spadku kół przednich panna Jourdan doznała wstrząśnienia, o małą głową nie wpadła w wanienkę. Kobieta zmierkowała jednak, co się święci, odemknęła drzwiczki landary i wyskoczyła, wrzeszcząc przeraźliwie:

— He, klopa!... He, klopa!... — Co miało znaczyć: „hej, chłopie, bywaj.“

Może z powodu tego krzyku, a może i nie, konie poczęły wyciągać powóz, tak, że przód landary ukazał się na przeciwnym brzegu, a tył wpadł do rowu. Dopieroż biedna guwernantka oddała się rozpacz, a lamentowała w niebogłosy.

Łuka snadź znalazł nakoniec podkową, bo z biczem w rękę ukazał się na górze; zobaczył zdalka straszne rzeczy, więc pędził czempredzej i wyzrekał po drodze:

Nie dał mi okumon wziąć mojej fornalki, ino kazali oto sprząc luzaki od kieratu... Cóż taka gadzina może rozumieć?... Wyglądzone bestje rwą się do ziarcia, jako świnię... A ja mam tęgi używan-tes, zgłobę i desperacyją.

Panna pobiegła naprzeciwko fornala i żywymi gestami ukazywała mu to na landarę, to na zwaloną w błoto walizę, wykrzykując:

— Mon Dieul Mon Dieul

Et, będzie mi tu pani jeszcze łeb zawracała takowem śwargotaniem, co rychtycki słyham ino, jakby kto dzwonkiem dyndał wedle uszu...

Potem Łuka niezwłocznie wskoczył na kozieł i począł konie nielitościwie batem okładać.

Szkapy wywlokły powozisko na pole, ale przy wyjeździe z rowu landara się mocno przechyliła; wyciekła woda z wanienki, wypadły karpie z pudła, zawiniątka, oraz koszyk z kotami, Bielusia i Czarnuś ujrzały się na wolności, wybiegły na pole, poczęły miauczeć. Fornal nareszcie okolił, przebył rów w dogodnym do przejazdu miejscu i wyjechał na gościniec, gdzie się był powóz poprzednio zatrzymał. Teraz należało pobierać rzeczy, uronione z powozu, czego też Łuka dopełnił ze skrupulatnością. Ale najgorsza sprawa była z kotami; za jednym z nich puścił się fornal w pole; Czarnuś lekko sadził po zagonach, podczas, gdy chłopu w ciężkich butach przychodziło to z trudnością; kot co chwila przysiadawał, ale gdy do niego podchodził zacietrzewiony Łuka, zmykał coraz dalej. Nareszcie Czarnuś dotarł do drzewa i w mgnieniu oka wdrapał się na wierzchołek. Ciskał nań Łuka bryłami, kłął—nic nie pomogło: kot się przyczaił na gałęzi i spo-

kojnie w dół spoglądał. Wlazł więc i fornal na drzewo, lecz kiedy miał już pochwycić kota za kark, ten dał susa, skoczył na inną gałąź, potem mignął tylko ogonem w powietrzu, spadł na ziemię i poszedł.... Drugi kot biały, snadź łagodniejszej natury, siedział na wierzchu zagona i obserwował, co się dookoła niego działo. Łuka, nie mogąc pojmać Czarnusia, chciał przynajmniej Bielusię złowić. Podchodził więc z czapką w rękę, przemawiając pieszczotliwie: „Kiziuś, kizia, bieluśki!” A gdy się już dostatecznie do zwierzęcia zbliżył, cisnął magierkę tak zręcznie, że kota nakrył i oglupiałego dostał w ręce. Kiedy go jednakże przyniósł do powozu, kot zręcznie się jakoś wywinął i znowu uciekł w pole.

— Bodajes zdech, zatracony kociurze, za tyle mojej mordęgi, cobym jej z kuniem nie zażył....— zawołał rozgniewany fornal.

— Pani ziezica (dziedziczka) gniewać na kłopa na fornall...—powiedziała Francuzka.

— O! rany Jezusowel... Dyc una oczywiście mnie nazywa kłapa!

I tu Łuka począł się śmiać serdecznie.

— Nie śmiać, nie śmiać!... Pani gniewać kłopa.

— Kajbym się nie miał śmiać, skoro mnie na przewisko Stokłosa, a pani Ziurdanka mię po francusku nazywa kłapa.... O jurzenie się dziedziczki i dziedzicówny niema nijakiego strachu, bo ja na te koty

potrafię zaraić: Chycę kajniebądź kociura i po szystkiemu.

Łuka wlaźł teraz na kozioł i mówił sam do siebie:

— Skaranie boskie z takowemi odmieńcami na świeciel... Cóż wart taki naród bez mowy—...

I landara znowu sunęła po drodze.

W odległości więcej niż dwóch mil do Szczurkovic stoi na gościńcu karczma nazwiskiem Gajówka; każdemu chłopu ślinka do ust płynie, gdy tędy przejeżdża, a trzebaby już dużej wstrzeźliwości, żeby na Gajówkę nie wstąpić. Nasz powóz zajechał prosto przed karczmę. Łuka dał koniom przetrącić kłak siana i postanowił je potem napoić. Kiedy zaś szkapy przegryzały, fernal podszedł do landary, skłonił się i rzekł:

— Możeby pani Ziurdanka na śnaps co ochfiarowała....

— Comment?... Co klopa kcieć?

— Niechaj ta już i klapa, tylo widzi pani kiej się do karczmy zajędza, to trzeba napoić i škapska i ludzi.

— Nie rozumieć — rzekła guwernantka, potrzęsając głową.

— Dy tutaj rozumu cale nie potrzeba... lno ślać i kuniec.

Guwernantka ciągle potrzęsała głową.

— Kwarde sobaka ma serce'.... Taka frajcuska

baba, to nikiem żydowica; drugaby zara na rękę wytrzęsła z pół złotka.

Stał Łuka przed powozem i natrętnie wpatrywał się się w pannę Jourdan. Naraz przyszło mu do głowy, żeby przemówić z żydowska, przeto rzekł:

— Ništu geld, ništu śnaps, ništu kuraż'...

— Geld? Courage? — zapytała Francuzka zdziwiona.

— Juścić: geld, geld..... Coby wypić na kuraż. I pokazał ręką, jak się pije.

Guwernantka dobyła sakiewki i dała fernalowi dwadzieścia groszy.

— Taka to pewnikiem i rachować po naszymu nie umie.... Kieby się tak omeliła, a z parę złotków w łapę, — myślał sobie Łuka; poczem wziął ofiarowane sobie pieniądze i poszedł do gospody.

W karczmie spoglądano dosyć ciekawie na chłopca, podróżującego aż z pod Pilicy. Fernal z początku nic nie mówił, tylko wypił wódkę i zapalił fajkę.

— Skądżeście wy, człowieku? — zapytał szynkarz.

— Skądżeby, dyć nie z tamtego świata'. — odparł lekceważąco Łuka, a potem dodał: — Ze Szczurkovic.

— Aha, ze Szczurkovic. Z dziedziczka jedziecie?



— Kaj ma być z dziedziczką — mówił fornał i zamilkł, lecz go język świerzbiał, żeby się wygadać; przeto po chwili tak zaczął: — Jedzie a to frajcuska, czy coś takiego..... Ziurdanką była do dziedzicówny naszej. Straśnie dziwotnie gada, a ludzkiej mowy ani krzty nie rozumie.

— No, widzicie ludzie. — odezwało się chórem parę bab obecnych w karczmie.

— Wielga dziwota'.... — zawołał jakiś chłop z pod Wolbroma, który tu także z furką na popas zajechał. — Tać u nas las zakupili ludzie z takiego narodu, co tam puno ciągiem tylko pływają.... Ni to niemcy, ni żydy.... Jakieś olendry, czy jangliki.

— A no to i ta moja Ziurdanka nijak ludzkiego przezwiska nie mówi. Caluską drogę woła na mnie kłapa, choć jej pedział, iż się zwę Stokłosa, nie kłapa. Nieco z żydowska musi, także bele co zaraćca....

Zdumienie w karczmie było tak wielkie, że zgromadzeni poczęli wylegać przed ściany aby na własne oczy zobaczyć kobietę, która mówi kłapa zamiast Stokłosa. Chłop z pod Wolbroma z powagą zauważył, że owi ludzie, co las zakupili w jego stronach, nie potrafiliby powiedzieć nawet „kłapa“.

Łuka napoił konie, okiełznał, sprzątnął resztki niedojedzonego siana, zapłacił w karczmie najprzód za jeden półkwaterek, potem wypił jeszcze drugi,

wsiadł na kozieł, znowu się przeżegnał, strzelił z bata i ruszył.

Kiedy się już byli znacznie oddalili od Gajówki, fornał powstrzymał konie, zszedł z kozła, podszedł do drzwiczek landary, otworzył je i, wydobywając jakiś przedmiot z pod sukmany, rzekł do Francuzki:

— No, widzi pani, mam tu setnego kociura; będzie tyłośny, co hańte oba.... Już psianoga odchowany i pewnikiem mądrzejszy, niżli une młodziaki, co od człeka stroniły.

Z temi słowy Łuka podał pannie Jourdan ogromnego czarnego kota.

— Kotka! kotka! — zawołała francuzka.

— Czy ta jakuratnie kocica, tegom nie przepatrył, inom uchycił bestyjnika w stajni na Gajówce.. Musi jest łowny i cunjny, bo warował przy dziurze; no i wzionem, coby mi dziedzice nasi łba nie molestowali, iż się tamte kajsik zatraciły.

Kot był przerażony, wyglądał dziko, podrapał nawet fornała po rękach. Ale Łuka trzymał go silnie za kark i wpakował do koszyka. Uwięziony kot począł się rozbijać i wyskakiwać, tak, iż panna Jourdan musiała ręką przytrzymywać wieko, ażeby się jeniec nie wydobył.

Łuka zamknął troskliwie landarę, popatrył na kota, pokiwał coś głową z niedowierzaniem i znowu się wgramolił na swoją walizę. Po dwóch półkwaterek gorzałki chłop uczuwał w umyśle ja-

kąs wielką ochotę, chciało mu się pędzić, jak na skrzydłach; więc walił konie, strzelał z bata i wykrzykiwał ciągle:

— Wio, karal... Wio, gniady!... Wio, maluśkie, wio!...

Wiosenne słońce przyrzewało atoli i tak jakoś piekło chłopca po łbie, że mu się naraz gwałtownie oczy kleić poczęły; na wysokości swojej kiwnął on się kilkakrotnie i o mało nie spadł pod koła; znowu się cucił, znowu naglił konie do biegu i znowu usypiał.

W drodze spotkała się landara z żydowską bryką, za którą biegło kilka przywiązanych koni, na bryce zaś jechało z pięciu żydów, widocznie handlujących końmi; wszyscy oni, nie wyłączając furmana, spali; ten ostatni drzemał z fajką w zębach. Łuka miał prawdziwą fantazję, — pragnienie wykonania jakiego nadzwyczajnego czynu, co jest właściwe każdemu podochoconemu chłopcu; przeto rozwinął szeroko swój bicz, śmignął i trzasnął tuż nad głowami śpiących izraelitów. Wszyscy obudzili się z wielkiem przerażeniem... Ale koniec fornal-skiego bata okręcił się koło cybucha fajki furmana i fajkę wyciągnął z ust żydowi... Łuka świsnął biczem i fajka, jakby z procy wyrzucona, poleciała gdzieś na pole.

Na żydowskiej bryce powstało ogromne zamieszanie; furman zeskoczył natychmiast i począł

ścigać powóz; ale Łuka, rad ze swego dzieła, uśmiechnął się do siebie, zaciął szkapy i pędził tego, tak, że landara aż jęczała, podskakując po wybojach. Panna Jourdan musiała się teraz obiema rękami trzymać siedzenia, ażeby głowy nie rozbijać o ściany powozu, albo nawet nie dosięgnąć w podskoku sklepienia. Podczas tej szalonej jazdy czarny kot wyskoczył z koszyka i począł się rzucać po zamkniętym powozie, wreszcie przycupnął za wanianka, mrużąc gniewnie. Francuzka krzyczała, lecz Łuka nie słyszał, podniecając konie do biegu. Wjechali w las, gdzie na drodze były straszne korynieniska; landara wyskakiwała, huczała, trzeszczała, niby potwór apokaliptyczny. Naraz coś zgrzytnęło i powóz nachylił się ogromnie, Łuka zaś, pełen zapału, wraz z walizą, na której siedział, spadł na ziemię wśród niezmiernego stuku. Panna Jourdan, wanianka, kot, oraz rozmaite pakunki, — wszystko skupiło się w jednym kącie powozu. Wewnątrz landary dały się słyszeć jęki przerażenia, zewnątrz Łuka miotał przekleństwa.

— A bodaj was choroba cisnęła z takim gratem... syćkie ziobra człowiek może na drodze ostawić...

Jednakże fornal mężnie zniósł ten pocisk losu; niebawem powstał, otworzył drzwiczki powozu i rzekł:

Niechże pani Ziurdanka wylezie, a to na

drogę, bo się koło złamało u tego zatraconego kocibryka.

Ale kiedy zajrzał wewnątrz powozu, spostrzegł przerażający obraz, w wanience wody tu nie było wcale, karpie tłukły się po naczyniu, podskakiwały po powozie, jakby w mękach konania, a czarny kot trzymał w zębach jedną rybę, chrupał ją żarłocznie, pomrukując i ciskając iskry ze świecących oczu.

Biedna guwernantka, zmoczona, pomięta, z trudem wydobyła się na drogę; Łuka zaś zrobił najprzód jaki taki porządek w powozie: obił kota, odebrał mu zamordowaną rybę i wypędził na cztery wiatry „zacieczonego szkodnika“. Dalsze zadanie fornała polegało na tem, aby naprędce urządzić jaki surogat koła i dotrzeć do karczmy, Kamień zwanej, gdzieby można było przeprowadzić radykalną reparację landary.

Zapusił się więc w las Łuka, upatrzył brzózkę, która mu się wydała dość „śwarna“ i począł ją od dołu nacinać kozikiem; pracował długo wreszcie nagiął drzewo, złamał, obciął gałęzie i przywłókł do powozu! Teraz przytroczył zepsute koło z tyłu na wiązce siana, brzózkę zaś podsadził zamiast koła i tak ją utwierdził, ażeby się landara utrzymała na właściwym poziomie.

Już miał ruszyć z miejsca, kiedy z lasu wy-

szedł jakiś człowiek w zielonej czapce, ze strzelbą na ramieniu; ten zbliżył się do Łuki i rzekł:

— Skąd ty jesteś, człowieku?

— A na co to panu wiedzieć? — powiedział fornał, nie patrząc nawet na przybyłego.

— Na to, że za ścięcie drzewa w lesie musisz sztraf zapłacić; inaczej stąd cię nie puszcze.

Łuce zrobiło się w oczach ciemno, jednakże nie tracił miny i udał, że nie słyszy.

— Za ścięcie brzozy zapłacicie dziesięć rubli, — zawołał znowu człowiek w zielonej czapce.

— Juści.. Będę ta panu płacił kiej nie mam.. Czym to ja kogo obdarł z pieniędzy, żebym je po drodze rozrzucił?

— Nic nie pomoże; zaaresztuję ci konia. Las należy do księcia Głupskiego-Głupeckiego, który wydał rozkaz do straży leśnej, aby surowo ściagała wszelką kradzież i przestępców oddawała sądowi.

— A i cóż to znaczy taki rozkaz..., Niby to ludzie w Szczurkowicach wiedzą; co tu u was przykazane. A żeby las należał nawet do króla, to i tak kunia brać nie pozwoli.

Człowiek w zielonej czapce śmiało przystąpił do czynu i począł wyprzęgać konia.

— Ej, niech pan nie ziartujel — krzyknie Łuka — i nie ciąga mnie do grzechu! pókim dobry!

Nieznajomy przestał wyprzęgać szkapę, podszedł do chłopca i powiedział drwiąc:



— Cóż ty sobie myślisz, głupi parobku?... Ja ciebie mogę do kryminału wsadzić za złodziejstwo!..

— Dzisiaj go, co to pleciel Kryminału mu się będą bojał! Czy to ja sobie ukradłem tę krzynę brzeziny? Tać ślachcic z naszego dwora znać się musi z panowym, to uni sobie oczu nie wykoła. Bez cóż chłopca za syćko winować? Możem ja krzywu temu, że mnie dziedzic ze Szczurkowic wysłał i kazawał przewieść do Sadełka Ziurdankę w takowej marnej landarze?...

Powiedziawszy to, Łuka podszedł do panny Jourdan, która już się w powozie rozsiadła, i mówił:

— Niech no pani wyżry, co się święci; dyć nam kunia fantują.

Francuzka potrząsnęła głową, a kiedy jej fornał począł palcem ukazywać stan rzeczy, wyjrzała z powozu i przestraszyła się widokiem człowieka, uzbrojonego w strzelbę.

— Mon Dieu — jęknęła, — Quel malheur?...

Może mu pani co naśwargoce, to psia para odeńdzie!... — I gestem pokazał Francuzce, jak się liczy palcami pieniądze. — Geld!...

Przestraszona kobieta dobyła z sakiewki parę złotych i oddała je Łuce, który podszedł do nieznanego, wcisnął mu w rękę pieniądze i powiedział:

— Niechże będzie zgodna!... Ma tu pan zapłatę, coby już nie było wydziwiania ludziom po drodze o byle jakie rzeczy.

Człowiek w zielonej czapce bez wahania przyjął pieniądze, popatrzył na nie, schował do kieszeni i niebawem zniknął w lesie.

— Taki paliwoda to tyło przewachuje, kajby co wydrwić z człeka — mrucał Łuka. — Zarazem zmiarkował, że jemu nie o tę brzezinę chodził!... Zwyczajnie kuźdy drze łyka, kiej może.

Landara ruszyła w dalszą drogę na trzech kołach, oraz na drągu. Jazda owa była niezmiernie uciążliwa, fornał zmuszony był nieustannie drąg poprawiać, podwiązywać.

Nad samym wieczorem zajechano przed karczmę, równie słynną i znaną wszystkim furmanom, jak Gajówka. W tej karczmie, nazwiskiem Kamień, każdy przystaje z chęcią: pasie i poi konie, sam też podje, podpije, bo kamieńska wódka na okolicę słynie z tęgości i smaku, a tutejsza woda koniom bardzo lubuje. Jest też na Kamieniu i kuźnia, którą prowadzi niejaki Michał Robota, znany pospolicie pod nazwiskiem Michałka, człowiek łączący w swej osobie fach kowala z fachem kołodzieja.

Łuka powziął poważną myśl zrestaurowania tutaj landary, zwłaszcza, że mu na rękę było dłużej zabawić na Kamieniu, gdzie znał dobrze Michałka, a zawsze też zwykł był w tej karczmie spotykać różnych znajomych. Więc nie zajechał już przed karczmę, lecz wjechał do obszernej stajni, przyczem zawadził w bramie i oberwał drzwiczki od powozu:

potem wyprzągł konie, dał im siana, następnie napoił, zasypał w żłób obrok i zajął się dziełem naprawy uszkodzonego powozu.

Z Michałkiem nie było co mówić, dopóki nie wychylił kubasa, czemu też Łuka nie omieszkiał zadosyćczynić. Po napitce zabrano się do oględzin powozu. Robota rozpatrywał uważnie rozklekotaną landarę, dotykał jej ręką w różnych punktach, obmacywał, badał szrubki i spoidła, a ciągle potrząsał głową; wreszcie rzekł:

— Musicie tu nocować; do Sadelka będzie półtoorej mili z ogonem, koniska nie dowloką takowej starzyzny. Noc też ciemna teraz, uchowaj Boże, zostać w szczerem polu bez nijakiego ratunku.

—Dyć prawdę pedacie, Michale!... Obeźreliście tego grata, nikiem dochtór kalekę... Ale bo to okumon w Szczurkowicach da człeku jaką wiarę? Jemu psiaduszy ino zawsze w głowie bele ludziom naswarzyć, a przed dziedzicem nagadać, nałgać.

—Tać znam tego obieżyświata! — rzekł Robota. — Może to taki mieć jakowe rozumienie!

Panna Jourdan nie opuszczała powozu, cierpiała biedaczka na fluksję. Łuka podszedł do niej i namawiał, ażeby zaszła do karczmy, gdzie w stacji propinatora może się rozgrzać; obiecywał jej nawet sam urządzić „śwarne” posłanie, ale Francuzka ruszyć się nie chciała, obdarzyła tylko fornała nowym datkiem „na śnapsa”.

W stajni na Kamieniu, jakkolwiek urządzenie było bez porównania wygodniejsze, aniżeli w innych karczmach, jednakże wespół z końmi podróжных odbywały tu nocleg krowy propinatora, kury, gęsi, prosięta i pies Burek.

Noc zapadła i znużona guwernantka zasnęła nieco pomiędzy temi różnemi zwierzęty, chociaż z szynku dochodził jej uszu donośny gwar chłopstwa, chociaż od żłobów słychać było głośnie chrupanie sieczki, a także pisk myszy i szczurów. Krowy legły pokotem dookoła powozu. Opodal stado gęsi używało wywczasu, a pod landarą położył się pies Burek. Były też w tej stajni liczne wozy, oraz bryki, a tu i owdzie odzywało się na nich chrapanie chłopa lub żyda.

Trzeba było zdarzenia, iż podczas owej nocy jakiś koń urwał się od żłobu i, jakby lunatyk, rozpoczął po stajni przechadzkę, zakłócając sen jej mieszkańcom. Rozpędził gęsi, poruszył spokojne krowy, rozbudził nawet Burka. Panna Jourdan spała twardo, jakkolwiek emigracyjny ruch zwierząt odbywał się na całej przestrzeni stajni. Gęsi z krzykiem wpadły pod powóz i wyrugowały stamtąd Burka, który, ponieważ drzwiczki powozu były oderwane, wskoczył wewnątrz landary i ułożył się na nogach Francuzki, gdzie właśnie leżała szynka, obwiązana w serwetę. Pies był widocznie głodny, przeto, miasto zaspokajać potrzebę snu, począł

obrabiać zębami szynkę. Niebawem atoli w drzwiczkach powozu ukazała się rogata główka jałówki, która najprzód ryknęła zlekka, bocząc się na Burka; ta okoliczność sprawiła, iż pies z szynką zrejterował pod powóz. Jałówka, włożywszy zaś głowę w głąb landary, poczęła tu gospodarzyć. Dobrała się jakoś do zawiniątka z suszonymi gruszkami, śliwkami i jabłkami; kiedy zaś spożyła wszystko, zwęszyła jeszcze zawieszony na ścianie powozu wieniec prawdziwych owoców. Po spożyciu grzybów jałówka wyciągnęła szyję, jak mogła najdłużej, plondrując dalsze wnętrze; podczas tych badań przypadkiem jakoś liznęła szerokim językiem twarz panny Jourdan, śniącej właśnie, że już wróciła do ojczyzny i wita się z różnymi znajomymi. Co innego sen, co innego rzeczywistość....

Francuzka, zbudzona, wyciągnęła rękę przed siebie i pod palcami poczuła twardej jakiś łeb, uzbrojony w twardsze jeszcze rogi.... Krzyknęła okrutnie przerażona, w skutek czego jałówka umknęła natychmiast od powozu pomiędzy bydło. Teraz panna Jourdan poczęła wrzeszczeć w niebogłosy a wspólnie z nią darły się gęsi, w górze zatrzępotały kury i koguty piąć poczęły. Na zgiełk taki powychodzili z karczmy ludzie, a między nimi Łuka. Wśród ogólnego podziwu przeprowadzono guwernantkę do izby gospodarza, gdzie już spokojnie przepędziła resztę nocy.

Nazajutrz około godziny dziesiątej z rana przed dworem w Sadelku stanęła landara. Ale z darów, które kochający brat Błażus wymienił w liście, pisanym do najmilszej siostruni Salusi, doręczono jej zaledwie kilka zdechłych karpi.

Takie wypadki mogą niekiedy mieć wpływ na ostatnią wolę, wyrażoną w testamencie.

---



T A R G A J .

Mój bohater nie posiadał uskrzydłonej duszy Platona: był psem folwarcznym i nosił imię Targaj, jakkolwiek miał charakter nader spokojny, daleki od targania kogo bądź.

Na folwarku, położonym wśród piasków a zdala od gościńca, życie jest nudne, smutne. Ludzie i bydło chodzą tu powoli, gnuśniej. W polach rosną rzadkie żyta, a wśród nich — pełno jeżyn. Wszędzie spotykasz oset, dziewannę, krzaki jałowcu. W sadzie dworskim rośnie zaledwie kilkanaście drzew śliwowych o drobnych przyżółkłych listkach, wśród których gąsienice założyły sobie gęste gniazda. Około dworu krzewi się nieco bzów tureckich, lecz wszystko to jakieś karłowate, nieudatne. Latem słońce piecze i w cień drzew schronić się nie można; kiedy zaś wyschnie jedyny zbiornik wody, kałuża, powstała z zimowych roztopów śniegów i wiosennych deszczów, wtedy lepiej jeszcze uwydatniają się tu cechy pustyni.

Tak się przedstawiał folwark Szarbice, gdzie nikt nigdy nie widział tłustego wołu, konia lub do-

pasionego wieprza. Chude krowy powracały tu zawsze z paszy głodne i przeto skąpo dawały mleka. To też dziedzicowi owej niefortunnej fortuny trudno było sobie dobrać pachciarza. Był Josek z Chmielnika i ten zbankrutował do szczytu; prosto w nocy uciekł ze Szarbic, uprowadzając żonę i dzieci. Po Josku wziął w pacht krowy Abramek z Pińczowa, człowiek bardzo energiczny i ten dostał pomieszania zmysłów. Pan Nachajski, dziedzic, już i tak przyciśnięty przeróżnaitemi kłopotami, miał teraz krzyż pański z powodu pachciarzy i nieustannie gryzła go troska odkrycia jakiego izraelity, któryby zajął ten ważny posterunek w Szarbicach. Umowy nie dochodziły do skutku, a jeśli doszły, żaden żydek nie mógł przez cały rok wytrzymać. Dogadzano tu nawet takiemu pachciarzowi nad wszelki wyraz: nikt mu nigdy wody nie zamącił. Sama pani nie mówiła inaczej do przedsiębiorcy krowiego mleka, jeno — „panie kupiec“, a do żony jego — „kupcowa“. Pan dziedzic zaś strzegł się cienia antysemityzmu i z ust swoich nie wypuścił słowa „żyd“, lecz mówił zawsze „starozakonny“, a najwyżej posuwał się do używania liczby mnogiej „żydkowie“, ilekroć była mowa o całym plemienu. Ta zdrobniałość w umyśle dziedzica Szarbic pokrywała wszystkie ułomności, jakie rasa — podług niego — uosabiała. Jednakże wszystko się na nic przydało; pachciarze nie mogli miejsca zagrząć

w Szarbicach, chociaż dziedzicowi oddawali sprawiedliwość, mówiąc:

— Państwo bardzo mądre i grzeczne ludzie, ale bidło paskidnel

— Tak rzeczy stały w r. 1874 w lipcu, kiedy zgębiony dziedzic Szarbic wyprawił karbownika Franka Borowca, bardzo doświadczonego chłopca, do miasta Szydłowa, aby tenże Borowiec ogłosił w owym miasteczku wszemu żydowskiemu narodowi, jako w Szarbicach jest do wypuszczenia w pacht obora, złożona z dwudziestu dwóch krów, i to na warunkach nadzwyczajnie dogodnych. Borowiec wstał o świcie i, położywszy ręką na sobie znak krzyża świętego, puścił się w podróż między niewiernych. Miał on głowę bardzo nabitą ważnością posłannictwa, zwłaszcza, iż pan dziedzic przyobiecał mu dodać ćwierć zagona pod kartofle, jeżeli się godnie z zadania wywiąże.

— Franek był nie tylko chłop mądry, ale i wyklapany; z żydami umiał mówić i nie dał się przegadać. Jak zaczął po Szydłowie myszkować, a żydom kłaść w głowę różne rzeczy, tak wreszcie zwerbował niejakiego Mendla. Żyd się formalnie rozpałił do pachtu w Szarbicach, a był to najwyższy, najcieńszy i najchudszy człowiek w Szydłowie, — o bladej twarzy, długiej szyji, czarnej rzadkiej brodzie i o bardzo pięknych pejsach. Pod względem psychicznym miał Mendel naturę marzy-



Szczekanie Targaja było nadzwyczajnym faktem w smutnych Szarbicach i zrobiło też wrażenie na mieszkańcach dworu. Pan Nachajski czem prędzej wyruszył na ganek, a widząc Mendla kroczącego od bramy z odkrytą głową, wzrokiem wdzięczności powitał karbownika.

— Zgromiony pies powstał ze swego legła, poszedł wolno o jakie dwadzieścia kroków dalej i ciężko, jak niedźwiedź, znów się powalił na ziemię, spoglądając dziko na pachciarza, który z panem dziedzicem już w ganku zawiązał rozmowę. To duże psisko było całe o kudłach barwy brunatnej, wypłowiałej, kudły owe odleżały się i wisiały na psie niby wielka — chłopska sukmana; w tym przyodziewku zwierzęcia widać było źdźbła słomy, plewy, trzaski, trociny drzewne, rozmaite śmiecie, a najgłówniej mnóstwo kolek z ostu. Targaj wyglądał jak bezkształtna, kołtuniasta masa.

— Ni to pies, ni wilcysko, cudacna pokraka, nikiej strasydło — mówili prości ludzie, patrząc na to zwierzę dziwnego nabożeństwa.

— Małe chłopaki wiejskie natrzasały się z niego, cizbą nieraz biegnąc za psem, tak jak po miastach biegają ulicznicy za warjatem.

Milczący, poważny zawsze, ów psi Diogenes nie używał wiele przyjaźni ludzkiej. Życie w Szar-

ciela, teoretyka, widocznie wśród jego antenatów musieli bywać prorocy. Borowiec zabrał ze sobą tego rekruta i szli obaj, niosąc na plecach buty, a żywo rozmawiając o zawodzie, oraz interesie pachciarza. Wypada tu dodać, iż Mendel próbował już różnego chleba: był on najprzód belfrem, potem — przez czas jakiś krawcem, następnie faktorem, ostatecznie chwiał się w wyborze między zawodem szynkarza a pachciarza. Idealista ten miał w sobie zapewne żyłę praprzodków, którzy ongi pasali bydło, i przeto pacht sidlił go potężniej, aniżeli szynk, tem bardziej że chodziło tu nie tyle o pasanie bydła w Szarbicach, ile o dojenie.

Na drugi dzień w samo południe podróżnicy nasi, przebywszy Saharę piaskową, przybyli nakoniec do szarbicznego dworu. Już przy wejściu w bramę Targaj powitał ich przeciągłym szczekaniem, wskutek czego Mendel dostał mocnego bicia serca i schronił się za plecy Borowca.

— Nie puńdziesz ty, zatracony, kaj do dziury! — krzyknął Franek, zamierzając się na psa pięścią, gdyż na kiju miał zawieszone buty.

— Targaj ponuro spojrział czerwonemi oczyma na Mendla, który całą głową, jak tyka, wystawał z poza chłopca. Rzecz dziwna, pies ten nie miał zwyczaju szczekać, a teraz oto zaszczekał. Cały dzień leżał on przed śpichrzem i zasypiał; w nocy też nie miał nic lepszego do czynienia.

bicach zobojętniło go na wszystko i uczyniło istotnym cynikiem. Zdawało się nawet, że burze wszelkich zwierzęcych namiętności przycichnęły zupełnie w tym organizmie. Ilekroć przypadały czasy psiego karnawału, pohulanek, zabaw i wesel, on nigdy w tem wszystkim nie brał udziału czynnego. Parę razy puścił się był za bandą biesiadujących psów, jednakże nigdy go nie dopuszczono do towarzystwa zbliżonego. I jak nie miał zostać samotnikiem, kiedy lada kundel rzucił mu się do gardła, powalił go o ziemię, wytarł mu co się zmieściło, nadarł z niego kudłów, narobił bólu i pełen triumfu odchodził, gdzie go własne interesy niosły.

Tem dziwniej się wydaje, że Targaj zaszczykał na widok nowo przybyłego pachciarza z Szydłowa. Przecież poprzedni pachciarze mogli mu bezkarnie po głowie chodzić, czego pies ten nie broniłby i złodziejom!

Prawda i to, że Mendel był też w swoim rodzaju ciekawy egzemplarz, podobny raczej do strasydła na wróble, niż do człowieka. Cienki a długi wywijał nieustannie rękami, nogi zaś, podczas chodu, gięły mu się w kolanach, jakby przysiadł; w ruchach ciała miał pełno niespokojności, a oczy wytrzeszczał, niby wystraszone.

Dziewki dworskie, skoro tylko spostrzegły Mendla, mówiły między sobą:

— Kaj ta z takiego ma być pachciarz, tak się ino widzi dziedzicowi.

A przecież pertraktacje o pacht szczęśliwie doszły do końca i pod wieczór umowa stanęła. We dworze chciano nawet Mendla ugościć, ale on by nic trefnego nie wziął był do ust, więc spożył tylko kugiel, oraz cebulkę, które miał w chusteczce związane, poczem, jako ciężką znużony podróżą, dopraszał się noclegu.

Naprzeciwko prawie szarbieckiego dworku stał stary a duży śpichlerz. Pan Nachajski z zapałem opowiadał nieraz, że jakiś jego przodek zamknął się był niegdyś w tym śpichrze podczas napadu Tatarów na Szarbiec i wytrzymał dokuczliwe oblężenie. Na dowód autentyczności faktu pokazywał dziedzic mnóstwo dziur w ścianach, jakoby od kul tatarskich....

Otóż w tym śpichrze zrobiono dla nowego pachciarza posłanie z kłociastej słomy i spać go tam wyprawiono. Dworska dziewczka, z latarką w ręku, prowadziła Mendla do starożytnego budynku; ale gość wiedział, że po drodze może mieć jakie zajście z Targajem, przeto czepiał się mocno spódnicy. Jakoż pies leżał w pobliżu śpichrza, lecz kopnięty przez dziewczkę, mruknął tylko i wcale się nie podniósł, co tembardziej zdekoncertowało izraelitę. Nareszcie dotarło bez żadnych innych przeszkód do śpichlerza, gdzie Mendel legł i zasnął

snem sprawiedliwego, wśród miłych marzeń o donjonem przez siebie rogatem bydle. W te marzenia wplątała się i postać szpetnie kudłatego psa, któremu nasz przyjaciel przypisywał bardzo złośliwy charakter. Fantazja w lot wyzyskała podczas snu owe uczucia i już nad ranem przyniosła Mendlowi sen arcy-niemily. Mianowicie też śniło mu się, że przez jakąś pustynną okolicę ucieka do Szydłowa, a za nim sady straszna, kudłata poczwara ze wściekłymi płomiennymi oczyma, ostremi białymi zębami i z wywieszonym czerwonym językiem. We śnie pędził Mendel nawpół po ziemi, nawpół przez powietrze, wykonywał susy po kilkadziesiąt kroków naraz, a okropna bestja wciąż gnała za nim, wyjąc i skowycząc. Biedak spociał się ogromnie, serce skakało mu w niewysłowionej trwodze, lecz pędził ciągle. I widzi wdali dom, gdzie nań oczekuje żona Ryfka, wpada do sieni, chce otwierać, lecz drzwi zamknięte, — chce krzyżeć, lecz głos ugrzął mu w gardzieli... Więc jęknął głęboko, stęknął srodze, bo oto wali się na niego straszny potwór, przytlacza mu piersi, w usta wkłada łapę.

Mendel czuje jego ciepłe cielsko, słyszy okrutne sapanie; dobywa zatem sił ostatnich, aby się pozbyć strasznego ciężaru, i właśnie w tym wysiłku się budzi... Sen miał nietylko wewnętrzną pobudkę, była i zewnętrzna jego przyczyna. Targaj, przez pchły niepokojony, aż skomlał z bólu i nie-

cierpliwości, leżąc w pobliżu śpichrza. Wiadomo, iż pchły najbardziej dokuczają w nocy. Pies przechodził z miejsca na miejsce, ale przesładowczyńie jego wszędzie się znalazły; wlaż więc po schodach na bulwarek śpichrza, gdzie natwardych deskach chciał użyć wywczasu. Gdzież — tam! I tu mu pchły spokoju nie dały. Począł się zatem wypchać przez niedomknięte drzwi do śpichrza i tą drogą zalaż na posłanie Mendla, któremu też sprowadził sen tak nieprzyjemny.

Pies odkąd legł w śpichrzu na posłanie Mendla, doznawał już znacznej ulgi w swoich męczarniach; dokuczliwe bowiem usiłowania krwiożerczych pasorzytów miały teraz za przedmiot udręczeń dwa ciała — jedno psie, drugie ludzkie. Zwolna tedy rozpoczęła się emigracja całych kolonij rozbójniczych z kudłów Targaja na wykwinniejsze ciało człowieka. Zdało się, iż pies wypuścił pchłom w pacht Mendla, aby sam w ten sposób mógł swobodniej zasnąć; za to pachciarz krów oka już nie zmrużył. I sprawdziło się w Szarbiach powiedzenie Szekspira: „ktoś zawsze czuwa, aby spać mógł ktoś.“

Straszne zaprawdę było położenie izraelity z Szydłowa. Śmiać się tu nie godzi ze smutnych losów bliźniego. Rozbudzonemu wśród sennych marzeń Mendlowi przerażenie odebrało głos i pozabawiło go władzy w członkach, leżał spokojnie, ci-



cho, jak dobre dziecko. Z początku działał nań sam strach tylko, gdy uczuł na swem ciele kudłatą poczwarę. Ale po jakimś czasie oswoił się nieco z tym własnym przykrym stanem duchowym i, jakkolwiek nie miał odwagi drgnąć, wyradzała się w nim jednak powoli rezygnacja, jakby przygotowanie na śmierć pod kłami mordem ziejącej bestji. A miał Targaj w postaci swej niejaki podobieństwo do potwora z Pisma Świętego. Pchły tymczasem naprawdę poczęły się dopuszczać mordów. Nie będąc płoszone, ani spędzane przez nieruchomego Mendla, istoty owe rozpoczęły po całym ciele poszukiwać życiodajnych źródeł. Nigdy kopacze złota w Nowym Świecie lub poszukiwacze nafty w Galicji nie dali się porwać takiej gorączce i namiętności, jak to miało miejsce z psimi pchłami, plon-drującymi po człowieczej skórze i wżerającymi się w żywe ciało, które przecież ma swoje mniej i więcej drażliwe miejsca. Długo był cierpliwy starozakonny obywatel, długo znosił kaźń rojenia się owadów i swędzenia ciała, co jest nieodłączne od wszelkiego pompowania krwi. Wreszcie nadeszła chwila stanowcza, chwila w której pchły dotarły do jakiegoś arcy delikatnego punktu na ciele, i, podczas gdy jedne staczały ze sobą o tę przestrzeń śmiertelne boje, zapaśniczając namiętnie, drugie zapuszczały już świdry w skórę. Wtedy to Mendel nie mógł dłużej wytrzymać i wyciągnął ostrożnie

prawicę ku owemu drażliwemu punktowi, stawiając veto napaści, jako posiadacz własnej skóry. Podrapał się, co mu ulżyło, a pchły poszły w rozsypkę. Ten ruch ręki, choć bardzo lekki, zwrócił uwagę Targaja, który, ocknąwszy się, warknął przeciągle; „wrrrrrr!“ Pachciarz zatrzymał rękę w miejscu delikatnem i znowu skamieniał; nie śmiałyby on teraz za żadną cenę cofnąć prawicy do poprzedniego położenia, chociaż w różnych punktach ciała doświadczał srogiej katuszy.

W śpichrzu panowała cisza, pies spał, jak bawsza, pchły bawiły się przewybornie, używając; tylko człowiek, dech powstrzymawszy, cierpiał. Są atoli w organizmie naszym mimowolne fizjologiczne zjawiska, nad którymi śmiertelnik rzadko kiedy jest w stanie zapanować, chociażby nawet miał żelazną wolę. Czy to wskutek wyziewów z kudłów Targaja, czy może z tego powodu, że jaka pchlina dostała się pachciarzowi w nozdrza, dosyć że ten człowiek uczuł nieprzeparłą potrzebę kichnięcia. A bał się w duszy nadzwyczajnie takiego wybuchu, przeto — o ile mógł — walczył z popędem organizmu. Już, już miał kichnąć, lecz jeszcze się powstrzymał i potrzeba kichnięcia jakoś przeszła. Niebawem atoli potrzeba owa tem silniej wystąpiła, pojawiło się okrutne kręcenie w nosie, które wpływ wywarło na cały ruchowy aparat Mendla; wybuchnęło kichnięcie tak potężne, że aż całe ciało pachciarza

do góry podskoczyło na posłaniu, a po śpichrzu zabrzmiało przeraźliwe echo... Przeraziłby się nawet najodważniejszy pies, cóż dopiero Targaj. Ten porwał się zatem, jakby ukropem sparzony, i z nadzwyczajnym pośpiechem uszedł ze śpichrza, zostawiając Mendla sam na sam z pchłami. Pachciarz odetchnął swobodnie, słysząc najwyraźniej, iż pies zmyka po schodach bulwarku i opuszcza w ogóle terytorjum śpichrza. Świtający dzień wnikał wewnątrz śpichrza dziurami, których było niemało w ścianach. Mendel blady, jakby go wyssały pijawki lub bańki, z chmurą niepokoju na czole, wyjrzał przez dużą szparę na świat boży i zobaczył Targaja, leżącego zdale przed śpichrzem. To go pokrzepiło; mógł przynajmniej spokojnie podziękować Jehowie za życie ocalone wśród srogich nocnych przygód z potworami, a dolegliwości przebyte mógł Mu ofiarować na chwałę. Przezornie więc wyszedł na wysoki ganek śpichrza, a podejrzliwie na psa spoglądając, okręcił sobie ręce rzemykami *tefilim*, innemi przyozdobił głowę, przyodział *tales* i, dzierżąc w rękę książeczkę *syder*, rozpoczął *dawenne*.

Świegotały wróble na dachu, świegotały jaśkółki pod strzechami, świeży poranny wietrzyk wiał w twarz Mendlowi, wrzusał jego pejsy, igrał z wieszacem u dołu *cyces*, a on się pobożnie kiwał i mrucał. Na te ceremonje Targaj spoglądał uważnie i żadną miarą nie mógł zrozumieć rzeczy,

widzianej po raz pierwszy w życiu; widocznie urabiał on sobie oryginalne pojęcie o nadzwyczajnym pachciarzu. Kiedy nareszcie Mendel w niezmiernym zapale wykrzyknął: „Szma Izrael” — Słuchaj Izraelu” — przypomniało się psu owo potężne kichnięcie w śpichrzu, a zdjęła go taka trwoga, że powstał ze swego miejsca i, nie oglądając się za siebie, poszedł w gąszcz pokrzyw, lebiody, łopianu i dendery nad kałużę, gdzie znowu legł, aby w dalszym ciągu prowadzić dzieło odpoczynku. Pachciarz skorzystał z tego, zeszedł po schodach na dół i dopełnił obrządku umywania się rosą „niebieską”. Pies wyciągnął się należycie i zasnął w chłodzie. Teraz on znowu miał sen okropny, na jaki tylko może się zdobyć zwierzęca fantazja. Śniło mu się mianowicie, że ów wysoki i nadzwyczajnie cudaczny człowiek, zakasawszy ręce po same łokcie, włożył mu na szyję arkan z rzemiennego paska, — że mu następnie skrępował nogi i, ścisnąwszy ręką obie szczęki, zwięzał je mocno rzemykami. Śniło mu się, iż go, tak ubezwładnionego, Mendel wciągał na pasku w górę, stojąc na bulwarku śpichrza. Psu tchu brakowało w piersi, nie mógł wydobyć z siebie głosu, grzebał tylko przez sen nogami i wydawał żalose, stłumione jęki, tak, że przeraził nadzwyczajnie tulące się między chwastami kokoszki. Nareszcie zbudził się pełen strachu. Naturalnie, pies, podobnie jak ludzie, za ocknięciem się poznaje, iż

sen nie jest rzeczywistością. Z tem wszystkim obraz Mendla wrył się jeszcze silniej w umysł Targaja.

Nowy pachciarz obawiał się psa, pies obawiał się pachciarza; była to nietylko obawa, ale zobopólny wstręt i antypatja. Dwie te żyjące istoty rozpoczęły ze sobą walkę, jakby im ciasno było na ziemi.

W kilka dni potem Mendel sprowadził się do Szarbic z żoną Ryfką i dwojgiem dzieci, kiedy koło dworu przejeżdżał wóz wypakowany betami, na wierzchu których wysoko siedział pachciarz i jego rodzina, Targaj znowu zaszczeakał przeciągle, jakby zawył i schował się pod bulwarek śpichrza. Mendel o mały włos nie spadł na ziemię z przestachu.

Wszyscy się radowali z przybycia nowego pachciarza, bo brak tego czynnika osłabił już i tak powolną pulsację życia w Szarbicach. Pan Nachajski odmierzył sumiennie Borowcowi ćwierć zagona pod kartofle, a osobistości, przybyłe z miasta Szydłowa, zwracały na siebie powszechną uwagę mieszkańców. Ale Mendel i Targaj myśleli tylko jeden o drugim; wzajemna ich nienawiść zdawała się wzrastać ciągle.

Duszą przedsiębiorstwa pachciarskiego była żona Mendla, Ryfka, kobieta otyła, ruda i piegowata, ale pracowita, jak wół, i trzymająca w karchach marnoczielską duszę męża. Ona to sama warzyła

duże garnki kwaśnego mleka, które na ser przerabiała; wglądała we wszystko, mierzyła, obliczała; kierowała małżonkiem, zapędzając go do robienia masła, do zbierania w piwnicy śmietanki dla dworu, oraz do innych delikatniejszych robót około nabiału.

Przez dworski dziedziniec wypadało pachciarzowi niejednokrotnie przechodzić, tamtędy bowiem wiodła droga do piwnicy, przeznaczonej na użytek pachtu. Zanim więc Mendel zdecydował się przebyć ów trakt, zawsze najprzód upatrywał, gdzie jest Targaj. Jeżeli pies leżał według zwyczaju na swem stanowisku, pachciarz wlaził za płot, skąd szukał bryły, patyka, dopóki zwierzęcia nie odpędził daleko; poczem już swobodnie szedł do piwnicy. Atoli jednego dnia popołudniu ci dwaj antagoniści jakoś przypadkiem spotkali się oko w oko; każdy z nich bał się drugiego, ale każdy czuł, że nie wypada rejterować, że wogóle wszelka cofanka byłaby tu niebezpieczną. Popatrzyli więc na siebie przez chwilę, a Targaj pierwszy począł przeraźliwie warczeć. Mendel wziął nogi za pas i drapnął; pies zdziwiony, że taki duży człowiek przed nim ucieka, zabawił się w polowanie i począł pachciarza ścigać.

Rósł za spichrzem koński ząb, za końskim zębem znajdowała się kotlina, dół dookoła obrosły chwastem; była to stara studnia, która wyschła. Tutaj Mendel wskoczył, uchodząc przed Targajem. Naszczęście dół nie był zbyt głęboki; ścigany człowiek



przycupnął i nie śmiał oczu do góry podnieść. Pies wybiegł z gęstwy końskiego zębu, popatrzył przed siebie, a zdawał się doznawać zdziwienia, nie widząc pachciarza; z tem wszystkim widocznie był zadowolony, bo wznosił w górę kołtuniasty ogon, obszedł dookoła dół; obwąchał okolicę bardzo starannie, przystąpił tu i owdzie, poczem przeciągnął się, ziewnął, wydając nieco skomlenia i począł przednimi łapami skrobać i drapać ziemię. Aliści z dołu doleciała go woń Mendla, więc bystro zerknął okiem, pochylił głowę i nadstawił nieco uszy. Widocznie zainteresował go przedmiot, leżący na dnie dołu. W powietrzu rozległo się naprzód długie warczenie, które pachciarz posłyszał, niby straszliwy grzmot w górnych strefach. Po warczeniu nastąpiło urywane szczekanie, które się stopniowo zamieniało na ujadanie. Pachciarz ani drgnął, postanowił w głębi duszy umrzeć raczej, niż twarz od dna dołu odwrócić. Pies szczekał a szczekał, szczekając, obszedł dół kilkakrotnie, zapienił się cały, ochryplł; nareszcie znużony odstąpił od dna dołu o kilka kroków, położył się i począł drzemać, mając głowę zwróconą, w kierunku chwilowego miejsca pobytu Mendla. Ten ostatni przyszedł do siebie, zwrócił oczy w górę i ujrzał lazurowe sklepienie niebios tak czyste, tak łagodnie nań spoglądające, jakby mówiło: — Widzisz, Mendlu, świat taki piękny, jasny; a ty siedzisz w ciemnej dziurze!

W tem jakiś szczebiot zwrócił jego uwagę; spojrzał w bok i zobaczył na dnie wilgotnego dołu strasznie nabrzmiałą, z wydętymi bokami ropuchę, która leniwym krokiem prosto ku niemu zmierzała. Oboje spojrzeli sobie bacznie w oczy; żaba wyciągnęła poważnie przednie łapki i znowu zaczęła leżeć prosto ku człowiekowi. Źle się Mendlowi zrobiło, zdało mu się bowiem, że w oczach ropuchy wyczytał jakieś niedobre zamiary. Powstał i zaczął się drapać w górę; ale zaledwie się rękoma uchwycił traw nadbrzeżnych zaledwie na wierzch pokazał głowę, gdy obudzony Targaj wydał straszliwy głos: „Wrrrr”.

Puścił więc pachciarz swoją deskę zbawienia i po raz wtóry opadł na dno studni. Pies jednakże nie porzucił bynajmniej stanowiska, niby piekielny Cerber. Cicho a gorzko westchnął sobie zrozpaczony Mendel.

Tymczasem Ryfka, nie mogąc się doczekać powrotu męża, postanowiła go odszukać. Poszła do piwnicy, ale piwnica była zewnątrz zamknięta na kłódkę. Udała się do dworu, w mniemaniu, iż Mendel prowadzi tu z dziedzicem jaką konferencję. I we dworze nikt nie widział pachciarza. Szła więc na wieś i dopytywała po chałupach. Tu także nikt jej nie umiał nic powiedzieć. Gdzież się mógł zapodziać? — pytała sama siebie zaniepokojona kobieta. Nasuwały się jej rozmaite myśli. Juścić nie utonął, bo w Szarbicach była tylko kałuża, po

której gęsi prawie piechotą chodziły. Nie rozszarpały go dzikie zwierzęta, bo las był bardzo daleko. Troska, trapiąca Ryfkę, udzieliła się panu Nachajskiemu, który znów ujrzał, iż mu grozi niebezpieczeństwo stracenia pachciarza, pozyskanego z nie-małym trudem. Począł i on sam przykładać rękę do poszukiwań. Szukano w śpichrzu, szukano w stodołach, po zapolach i pod strzechą obory, i na strychu we dworze.

Dzień chylił się ku zachodowi, a coraz smutniejsze myśli oblegały zarówno umysł Ryfki, jak i pana dziedzica. Puszczono się na pole domysłów. Dziewki dworskie utrzymywały, że mógł dostać „wielkiej choroby i leży kaj w przykopie”. Fornale znowu z pewnym sensem twierdzili, opierając się na fakcie przeszłości poprzedniego pachciarza, że ten chyba oszalał i poleciał kaj niebądź do miasta; ponieważ mówiono, — woda w Szarbicach „je tako, co zydom nie służy.” —

— Obleć no mi, Jagniszka, jeszcze koło budynków, tam po końskim zębie! — zawołał obrażony dziedzic, podczas gdy Ryfka ze łzami w oczach lament zawodziła.

Jagniszka była to głupawa, ale duża dziewa pod ceber. Koński ząb zaszumił tylko, kiedy się przez gąszcz jego poczęła dziewczka przedzierać, nawołując:

— Myndlu, Myndlu!.. A odezwijże się, psia wiaro, parchul.. Jesce bede po próznicy za tobom guniła kiele domul

Na ten głos zamiast Mendla pojawił się Targaj, który porządnie użył wywczasu i począł się do Jagniszki łąsić.

— No, ludziel!.. Widziciel — zawołała dziewczka, A còz ta zaciecona tutaj robi?.

I kolosalną swoją nogą kopnęła psa potężnie.

Targaj nie bardzo się zdekonzertował tem potraktowaniem; owszem, pobiegł przed Jagniszką prosto na dół i począł zawzięcie szczekać. Dziewucha zaciekawiona zbliżyła się, sądząc, iż pies ma do czynienia z kotem w dole, i zobaczyła na dnie pachciarza, który odezwał się pokornym głosem

— Moje slicne Jagne, ratuj!

— To wy, Mendlu, siedzicie w dole, cy co?..

— A jakże, ja, Mendel.. pachciarz!

O! Nojswientsze imie Jezul! Jakżeście się tyz wtarabanili w takom dziure!

— Ny, jakto? Dyc tyn lajdak, te Targaj!..

— Rany boskie, co tyz godocie, Myndlu, toć ta zatracona nikomu nie skodzi tyle, co za pazurem ciorne.

I tu Jagniszka podała pachciarzowi swą energiczną prawicę, wyciągając go ze starej studni, gdzie o mało, że już nie umarł ze strachu, zwłaszcza iż

pod wieczór pojawiło się coraz więcej ropuch, a wszystkie skakały i wlażyły na ciało człowieka.

Dopiero była radość wszystkich, gdy triumfująca Jagniszka wyszła z końskiego zębu, wiodąc za sobą Mendla. Targaj jakoś poczuwał się snadź do winy, gdyż wcale nie wyszedł na dziedziniec; stał w gęstwinie końskiego zębu i wyglądał zdaleka, a bardzo ostożnie. Mendel z wielką fantazją i wśród nader żywych gości opowiedział całe zajście z Targajem. Dziedzic był tak uszczęśliwiony odszukaniem zguby, iż się śmiał serdecznie z tej przygody. Stojący na boku parobcy drwili, Jagniszka zaś tak się odezwała:

— Zeby tyz tyłośny drong psed lada psiskiem do studni sie chował..

— Oj, głupio, wis ty ze taki, co świencony wody nie widziol, to sie cego nibądź bojać musi, bo go ciort strachol — zawołał z przekąsem karbowy.

— Juścik i jo to pedam, moiściewy, tylo co pies, to nie ciort! — odrzekła Jagniszka. — Jezeliby kuzdy zyd tak myśloł, to bez cóz sie waguje przed psem, kiej bez wieś lizie?... — powiedział znowu karbowy.

— Toć ta swok Marek, co sie na ksionsce znajom, pedali, ze jak zydziska rozksyzowali Pana Jezusienka, to od tamtela rozlezi sie po drogach i łazom — mówiła Jagniszka.

— A no, Marek rozumiem takie rzeczy, jak sie patsy! — rzecze karbowy. — Zydom Pan Bóg ka-  
zuje i tak juz musom...

Odtąd nienawiść jeszcze bardziej wzrosła pomiędzy Mendlem i Targajem; pies gotów był rzucić się na pachciarza w każdej chwili.

W kilka tygodni po wypadkach powyżej opisanych, Mendel siedział przed domem i przyglądał się na słońcu serkom, ściśniętym w prasach, z których serwatka odpływała w szafliki podstawione. Dookoła Mendla igrało dwoje małych jego potomków, palcami robiąc dziury w błocie i plując w nie po kolei. Było to w niedzielę i popołudniu, więc powszechnemu próżniactwu oddawał się też i lud chrześcijański w Szarbicach. Opodał przy płocie stał młody parobek w czerwonej czapce z pawiem piórem i od czasu do czasu zagrał na drewnianej fujarce. Co przegrał zwrotkę, to z fujarki wylewał na ziemię ślinę. Wreszcie sprzykrzyła mu się ta czynność, przeto podszedł ku pachciarzowi i począł się także przyglądać serkom.

— Dalibyście oto, pachciarzu, przy święcie kęs twarogu! — rzekł parobek naiwnie do Mendla.

— Locygo ja ci mom dać? Cy jo za tyn tworog nie płace dziedzicowi?

— Co dziń sie nacharuje, kiej wom dla krów woze z pola okunicyne, tobyście i dali ksyne!



— Ny, co ty, Wojtek, myślis, co tu jaki gesieft lo mnie w Sarbicach?

— Ano, bo krowiska, kieby stodoły, a żyrc im nie dajom... Belecem gemby nie zatko zwirzenciu, a dziedzic zawdy kazuje nie zabirać z pola syćkiego, co nakosa. Ta i piesby zdech przy takich marnościach...

— Jakby on zdech, to joby ci doł tworogul— rzekł Mendel, mając na myśli Targaja.

— Cy pedacie o tym dworskim Targaju?.. Puno was kiedyś nastrachał. Jagniska pedziała, zeście z ziabami w dole do zmirzchu przeleżeli?

— Ny zeby un zdech, to jaby ci, Wojtek, doł pól syrka....

— Un mi ta nic nie krzyw, leży ino łogawiec bez cały dzień pod śpiklerzem....

— A po co jemu z pachciorzem zacynać?... Cy ja tu nie płace?

— Jakbyście mi dali cały syrek, tobym go obiesił.. rzekł Wojtek, zbliżając się bardziej do pachciarza.

— Na co jemu obiesić? Kiejby zjod chleba ze skłem, toby i tak nie zył...

Wojtek się zamyślił. Po chwili rzekł:

— Ba, nie dziwo.... Śkła natłuke, zamisom z chlebem i smyrgne sobace. A cy dacie syrek?

— Syrek widzisz taki duży.. Ja ci go dom, Wojtek, ino mu dobrze zadej.

W trzy dni potem Wojtek wszedł do mieszkania pachciarza.

— Myndlu! — zawołał — dajcie syrek, pies juz kopyrknuł...

— Ny, coś ty jemu zrobił?..

— Co? Nie wiecie? Co? Strulem pokrake i leży w ony stary studni za końskim zembem, ino wzdrygał nogoma.

Mendel ukrajał wąski kawałek sera i podał Wojtkowi, który wziął ser w rękę powoli i, drapiąc się w głowę, spytał:

— Cy to taka była zgoda? Dyc mieliście dać cały syrek!

— Mój ty, Wojtek, zastanów się!... Za takiego huncwota jabym tobie syrek dawał. Wiesz ty, co to syrek? To trzy duże gary mlika!...

Wojtek schował kranankę sera i wyszedł. Targaj nie zył.

## O GROCH PRZY DRODZE.

Oj Łuka, Łuka głupi, coś też ty porobił; zasiałeś groch wedle drogi! — Takim wyrzutem obarczyła żona Łukasza Czubałę, gospodarza na sześciu morgach gruntu w Kęsowie.

— Lepiej ot, stuliłabyś gębę Kaśka, i nie wtrącała się do takich rzeczy, co niedoczekanie woje, żebyś tego krzywę rozumiała—odpowiedział Łuka, biorąc w palce rozpalony węgielek z komina przybijając go w fajce paznogciem.

— Cie wy, moi ludzie! Nie moje doczekanie! A bez cóż to nie mam rozumieć, żeś chłop setnie głupaśny? Dyc baba lepiejby od ciebie poradziła.

— Eee, darmośnie mielesz ozorem, kieby krova ogonem! Pilnuj jacy ciarnochoy i dbaj, żeby winie w chlewisku głodu nie marły! Co ci sie ta wtrącać do chłopskiego obejścia... — rzekł chłop, siadając na ławie i pykając z fajki.

— Cóżes się rozsiadł tak w czapie, jak nie-

chrzta, i poczynasz na mnie swarzyć, wymyślać? Znasz-li ty jakie poszanowanie?

Hin, poszanowanie; Widzicie ja!... Jeszcze może przed tobą mam mieć poszanowanie za to, żeś, psia-nogo, taka zuchwała i doskwierasz mi do ostatka! A cóżes to ty jaka szlachcianica, czy co?

— Czy też ty, człowieku, masz w głowie bylejakie zastanowienie; czy wiesz, co gadasz? — zawołała Kaśka, odwracając się od nalepy, przy której warzyła żur i do żuru kartofle. — Czy to w chałupie niema tyle świętości? A obrazy różnych przenaświętszych osób, a święcona woda, a kreda na Trzy Króle żegnana!... Czybyś ty chybił, żebyś przed tem wszystkiem głowę schylił? I czy ja ci bez słusznym pedam, żeś grondał? Ino za drzwi takiego wypędzić i jeszcze po łbie wytrzaskać!...

— Przed świętościami tobym się pokłonił; ale skoro ty, beskurcjo, dopiekasz, ja ci mam za to czapkować? — odparł mrukliwie Łuka, spluwając z powodu drapiącego świcentu i sosu, który mu się właśnie z cybucha dostał na język.

— No, obaczysz, ja ci tę czapę ze łba zwalę! Jak Bóg żyw, obaczysz! — rzekła Kaśka, podchodząc zbliżona do męża, widocznie nań urażona.

— Ej, skórebym ci wylatał, żebyś tak śmiała mię tykać! — powiedział Łuka flegmatycznie, ale stanowczo.

Poczem wyjął cybuch z fajki i z wielką obojętnością odlewał czarny sos, rezultat pomieszania się sliny z tytoniowym osadem. Zaledwie atoli słów tych domówił, kiedy Kaśka szybko przyskoczyła do niego i uderzyła go w głowę pomiotłem od popiołu tak, że chłopu magierka spadła ze łba na ziemię i potoczyła się na środek izby, gdzie właśnie przechodziły się kury, a wśród nich, młaskając—pulchny, różowo-biały wieprzaczek, ulubieniec pani domu.

Rażony Łuka porwał się czempredziej na równe nogi i, porzuciwszy fajkę oraz cybuch, poskoczył w złości do Kaśki, która widać przewidziała napad, bo się schroniła do komory i drzwi od niej zamknęła na skobel.

— Otwórz, sobako! Otwórz zaraz, powiadam ci! — wrzeszczał Łuka.

— A bo ja chcę! Czy to ja nie czuję, żebyś mi krzywdę zrobił? Chcesz mię potraćić, nie głupiam! brzmiała zuchwała odpowiedź z komory.

— Otwórz, myjaku jeden, bo drzwi wywalę!...

— Spróbuj! Ino mi się tu ważysz wejść, to ci zarazicki ślepie zamaluję smołą! Słyszysz, paskudny grondału, umyślnie wzięłam z maźnicy kopyść i czekam, aż wejdiesz... Zaraz lunę!...

— Ja ci, psia jucho, pedam, że nie będziesz śmiała, bobym na śmierć ubił!



Nie ubijesz, zacieczony, bo na ślepska nie przeżrzesz, boskiego świata nie obaczysz!...

To ci zła osa, skurczypała!... mrucał pod nosem Łukasz i odszedł od drzwi komory, bo poczuł, że go już ta straszna zawziętość ominęła.

— Żebym był tak dopadł, tobym zdzielił, kajbym utrafił.

Teraz chłop powrócił na swoje stanowisko, zestawił drewnianą brudną fajeczkę z wygryzionym w zębach cybuchem, którego trestkę włożył do ust i niebawem przypomniał sobie z całą przytomnością, że mu Kaśka zrzuciła ze łba magierkę; postanowił przeto naprzekór babie czapkę znowu na głowę nasadzić, usiąść tak na ławie i cierpliwie czekać, nim się obleşona sama nie zda na łaskę. Ale przedewszystkiem czapki nie znalazł na środku izby, choć mu się widziało, że tam upadła była. Szukał zatem i pod skrzynką, i pod nalepą, pod wyrkiem, pod żarnami — czapki nie było nigdzie. Cóż się stało?

Zdarzenie niezmiernie zwyczajne. Wieprzaczek Łukaszowej, istotą ogromnie ucieszna i rozpieszczona, napotkawszy na środku izby wielką wełnianą czapę, stanął nad nią poważnie, kwiknął parę razy, nareszcie włożył wewnątrz swój ryjek, popchnął przed się i czapa się przewróciła na drugą stronę; wieprzak znowu ją pchnął i czapa znowu się odwróciła. Manipulując w ten sposób, bezrogi czwo-

ronóg dotarł aż do progu nawpół uchylonych drzwi, wydobył się z czapką do sieni, a z sieni na podwórko, gdzie począł z magierką Łuki wyprawiać różne figle, właściwe młodemu i bezmyślnemu stworzeniu: to potrzasał czapką, targał ją, to ją znowu ryjem w górę podrzucił — słowem bawił się przyjemnie. Wprawdzie leżący do słońca na pogródcie pies, Łata, ze zdziwieniem patrzył na takie niesłychane swawole świńskiego dziecka, lecz wiedział może, iż wieprzak jest ulubieńcem gospodyni i dużo mu wolno, przeto zachowywał się bardzo obojętnie; zresztą, cóż tam znowu taka ludzka czapka ma za znaczenie dla zwierzęcia... Również i młodziutki czarny cielak, merdając krótkim ogonem a pomrukując, głupowato spoglądał na ucieszna działalność prosiaka. Kiedy zaś podrzuciona czapka padła cielęciu tuż przy nogach, spojrzęło na nią podejrzliwie, zboczyło się, zadarło ogona i ze strachem uciekło aż na drogę.

Każda zabawa ma swój koniec. Tarzana w błocie, szarpana i podrzucana wielokrotnie nowa chłopska czapka upadła ostatecznie w kałużę czarnej gnojówki i zwolna, jak skolatana nawa, poczęła odpływać od brzegu ku środkowi.

— Kaśka! Słyszysz — ty? — wołał Łuka do żony, zamkniętej w komorze. —

— Nie barłóz — no; mało ci tego, żeś mnie przez łeb zdzieliła pomiotłem, jeszcześ mi, psia

jucho, kajsik zadziała czapczysko. Słyszysz, oddaj! Ja się gzić nie lubię....

— Baj, bajul... Dyc ci magiera na samuski srodeczek izby zleciała i potoczyła się między kury, aż zagdakały... — odrzekł głos z komory.

— Tać dobrze wiem; ale bez cóż nie mogę nikaj znaleźć?...

— A boś się głupi zaciętrzewił straszecznie i w ślepiach ci się musi ano mienić.

— Kaj mi się znowu ma mienić..? Szukam po próznicy dłużej kwandraca — mówił Łuka, przecierając sobie jednak oczy w przekonaniu, że mu się może i mieni.

— No, widzisz, jak ci się nie zmieni, to może i święty który dopuścił bez to, żeś go nie uszanował, żeś w czapie przy obrazach siedział...

— A juści, a ino!.. Głupie takie babskie powiedzenia! Czy mi to jacy pierwsza w chałupie siedzieć w magierze? Pleciesz, jakbyś nie wiedziała.

— Nie wiesz to ty, że jegomość mówili w kościele, co Pan Bóg długo cierpięliwy, kiej ma do czynienia z głupim narodem — wołała Kaśka z komory.

Łuka mimowoli spojrział na obraz świętego Antoniego Padewskiego, zawieszony nad ubogim wyrkiem, i zdało mu się, że święty ów jest nań rozgniewany, że zmarszczył czoło, wykrzywił usta, że mu się nozdrza rozdeły i oczy gniewnie mrugają, jakby chciał nawymyślać. Więc sięgnął chłop ręką

do głowy i na nowo się przekonał, iż mu brakuje magierki; poskrobał się tylko po czaszce i, jak głupi, rozpoczął znowu poszukiwanie czapki. Zdawało mu się, że swoją nową magierkę widzi, że ona leży na środku izby, że ją niebawem znajdzie, podniesie. Tak się strasznie męczył, zostając pod wpływem dziwnej ułudy.

—Kaśka! — rzekł łagodnym głosem. — Mojaś ty, wyleż no z komory i pokaż, gdzie ta magierka spadła.

— A czy ja chcę? — odpowiedziała Kaśka:— Tyś już może czapczysko znalazł i udajesz dobrego, żeby mię jacy wytłuc, jak wyńdę.

— Jaksz dobra wyńdził błagał Łuka, którego teraz i strach zdjął przed świętymi obrazami, święconą wodą i kredą na Trzy Króle zegnaną. — Tak mi Panie, Boże, dopomóż, nie zrobię ci, Kaśka, na despet.

Ano, kiej tak, to wyńdę. Mądrze gadasz! — odrzekła Kaśka, otwierając drzwi komory. — Ale niech cię rany Chrystusa Pana bronią, jakbyś mię chciał ukrzywdzić.....

Łuka atoli ani myślał krzywdzić żony; z wytrzeszczonemi bezmyślnie oczyma stał on na środku izby i, rozglądając się dookoła, badał, gdzie może być jego magierka; spoglądając po ziemi, po powale, nawet zapuszczał wzrok na żerdź, gdzie zwykły

były kury nocleg odbywać. I nigdzie, nigdzie, nie było czapki.

Kaśka, wyswobodzona z komory, zabrała się też rażno do przeszukiwania. Przetrząsnęto wszystkie kąty, przerzucono rozmaite graty, ale nie znaleziono magierki.

— A to skaranie Boskie! — bełkotał oszołomiony Łuka.

— Juzścić nie co, ino skaranie! — powiedziała Kaśka tonem wyrzutu. — Nie poszanowałaś świętości, lichu ci kajś magierkę zaniósło.

— Ta i wiem dobrze, że zaniósło! Ale gdzie mogło podziąć prawie nowiušką czapkę?

— Kady niebądź! — fuknęła żona. Któż ta wie takiego paralusza?

— Tera i drugiej czapki nie mam, bom tamtą starą zgubił w karczmie, kiej mię stągniowscy chłopci natarmosili... zauważył Łuka żałośnie.

— Żebyś tak zmówił litanję do świętego Jantoniego, toby się może i znalazło — napominała Kaśka.

Łuka spojrział zgnębionym wzrokiem na obraz świętego, pomyślał sobie w duszy:

— Poratujże mię też we frasunku, najmilszy świątku!

Tymczasem Łukaszowa przypomniała sobie ulubieńca wieprzaczką, a nie widząc go w izbie, wyszła przed chatę i zaczęła wołać:

— Lusiul! lusiul, lusiul...,

Gdy zaś spojrzała wprost przed siebie na podwórko, ujrzała magierkę pływającą po gnojówce.

— O rety! zawołała. — Dzisz ty, Łuka, dyć twoja magierka się znalazła! Zmówiłeś musi do świętego Jantoniego!

— A jakże zmówiłem! — zawołał Łuka, wychodząc z izby, bynajmniej niezdziwiony naturalnym porządkiem rzeczy.

Poczem wydobył chłop żerdzią czapkę z gnojówki.

— Ale ci ją biesi, psia nogi, wymiętosili! — mówił Łuka, wkładając magierkę na głowę.

— Nie bądźże drugi raz głupi i nie kładź jej w chałupie na głowę, kiedy ci baba dobrze rai i w uszy kładzie.

— Czyś ty tylko, psia kość, Kaśka, nie miała tej czapki pod zapaską i nie smyrgnęła jej w gnojówkę, — zauważył Łuka.



## PSIA DOLA.

Za Wolskimi rogatkami, pod płotem jakiegoś ogrodu, położonego w kierunku południowej strony świata, leżała wyżlica Norma, otulając ciałem swym czworo szczeniąt, ślepych jeszcze prawie. Małe pieski co chwila chwyciły pierś matki, ale z piersi tej nie zdołały wydobyć ani kropli mleka: ruszały się więc niespokojnie, wydając z siebie mruki niecierpliwości i skomlenie.

A Norma nieustannie nadstawiała dzieciom swoją pierś próżną, w której one nadaremnie szukały pożywienia. Powyłaziły przeto dzieci z pod matki, jedno za drugim, niezdarnie się toczyły się na swych nożynach: podeszły do rodzicielki z przodu, garnęły się do jej pyska, do uszu, do oczu, zdawały się zapytywać:

— Matko, co to wszystko znaczy? Dałaś nam o to życie, a nie możesz nas utrzymać?.. Z głodu umrzemy!

Pies — matka smutnie patrzyła na potomstwo, mrużyła oczyma i poczęła dziatwę kolejno a troskliwie lizać językiem. Może ona pragnęła głód swoich dzieci pieszczotą uśmierzyć. Powstała

z miejsca wyprostowała się i, stojąc, poddawała szczeniutom pierś swą do ssania. Rzuciły się do niej wszystkie; czepiały się jej, jak pijawki, zawisły, szarpały ją, rozpierały się, ssąc i ciągnąc swą rodzicielkę. Norma była zwierzęciem wychudłym, zbiedzonem, sierść z niej miejscami zupełnie oblażała, trzęsła się na nogach zaledwie ustać mogła, a na uszach jej i na szyji widniały wszędzie niezabliźnione rany, wokółek obsiadały muchy. Dzieci, ssąc matkę w stojącej postawie, i teraz nie znalazły w jej piersiach mleka, poczęły ją więc kaleczyć, do krwi jej się dobierać; ale ona i krwi nie wiele miała w sobie.

Szczenięta, znużone licznymi a bezpłodnymi wysiłkami, legły wreszcie na ziemi, ułożyły się jedno na drugim i tak zwinięte, jakby w jeden kłębek, zasnęły. Przez czas jakiś stała nad nimi matka, liżąc je i troskliwie obwąchując, niby kołyszając swoje drobne psięta. A kiedy sen już nadobre ogarnął potomstwo, ona sama puściła się w świat na zebranie. Poszła pomiędzy ludzi... Gdzież pies iść może?

Wpadła do najbliższego domu w mieście; tu ją rozkoszna jakaś woń zaleciała, przeto stanęła pod drzwiami kuchni i stała biedna z pokorą żebraczki.

Stała długo, aż jej się sprzykrzyło: lekko skrobnęła nogą w ludzkie podwoje. Drzwi się otworzyły, wyjrzała stara jakaś kobieta z zakasanymi rękoma, zapłoniona od kuchennego żaru, widocznie kucharka. Spostrzegła psa i szpetnie zakląła:

— No! nie bestja to jedna!.. Puka do drzwi,

jak człowiek... A nie pójdziesz ty stąd psia duszo!

I z temi słowami poczęła kucharka szukać na podpieckach pogrzebacza, aby skarcić zwierzę, które się ośmieliło do drzwi jej przychodzić. Norma stała spokojna, osłabiona, chwiejna, zdawała się spojrzeniem błagać o jałmużnę. Kucharka odszukała narzędzie kary, wypadła z niem na psa i uderzyła go po dwakroć. Pies nie uchodził, nie wydał skowytu, jak gdyby ciosy owe nie były dla niego najcięższymi w życiu... Kucharka zamierzyła się raz jeszcze pogrzebaczem, lecz już nie uderzyła, tylko z przekleństwem okropnem zatrzasnęła drzwi od kuchni.

Niepewnym krokiem oddaliła się psia matka od niegościnnych progów i poszła dalej, wstąpiła do innego domostwa. Tutaj na dziedzińcu spotkał ją stróż domu, uzbrojony w miotłę, osadzoną na bardzo długim kijku.

— Jeszcze i ty, psia wiaro, będziesz mi tu zawadzała i bruździła!.. zawołał stróż, wymiatając siłą psa za bramę.

Norma wpadła teraz pomieszana do jakiegoś zajazdu, którego brama naoścież była otwarta, ponieważ właśnie zajeżdżała tam bryczka z gościem. Służący hotelowi już jej nie wyganiał; mniemano, że pies przyszedł za bryczką, że należy do przybyłego gościa. A gość wysiadł z bryczki i szedł pod numer, który mu wskazano. Norma

poszła za nim a w ciemnym korytarzu legła pod drzwiami, w których gość ów zniknął. Czuli brak sił w sobie; nie mogła już ani stać, ani chodzić. Po niejakiem czasie skrobnęła we drzwi łapą, wydając przytem z siebie jękliwy głos niepokoju. Gość drzwi otworzył, miał twarz jakąś rumianą, wąsatą, sympatyczną. Kiedy spojrział na psa, pies przyjacielsko, choć słabo, merdnął ogonem.

— Na tu, piesku!.. Zawołał człowiek i wpuścił psa pod swój numer wewnątrz. Norma za ledwie mogła przez próg się przewlec; weszła do izby, a sympatyczny człowiek rzucił jej jakieś resztki chleba i kielbasy, któremi się właśnie raczył po odbytej podróży i z chciwością i wielką żarłocznością rzuciła się psia matka na te specjalę, ale szczęki, zęby snadź jej już wypowiedziały posłuszeństwo, bo już gryźć nie mogła, a pochwycony w usta pokarm wypadł jej z ust na ziemię. Popatrzyła na żywność, spojrziała gościowi w oczy z jakąś żalnością, zachwiała się całym ciałem i upadła na ziemię. Nadchodziła dla Normy ostatnia chwila życia... Przypomniały jej się teraz oto drobne dzieci, które zostawiła pod płotem bez żadnej opieki, głodne. I ścisnęło się okrutnie serce matki; wydała jęk cichy najprzód, jak gdyby smutne westchnienie, potem podniosła nieco głowę i głosem jakimś rozbitym, urywanym zawyla tak przeraźliwie smutno, że głos ten przestraszył gościa. Zadzwonił przeto

ów człowiek, a kiedy przywołał numerowego, rzekł: — Zabierzcie mi stąd to zwierzę! Co to za nieporządek! Co za nieporządek w hotelu! Psy się wałęsają i niepokoją gości.

Na te słowa numerowy kopnął potężnie Normę; ale ona się już nie podniosła, nie jęknęła. Służący przyniósł szczotkę do zamiatania i począł nią bić psa, wypędzając z izby. Uderzył kilkakrotnie, ale pies zdawał się być nieczułym na odbierane ciosy. Pochwycił więc numerowy Normę za ogon i wywłókł ją na korytarz; potem zawołał stróża i polecił mu psa przybłądę znowu wywlec na śmietnik.

Teraz spokojnie na tyłach stajen, na kupie śmieci leżała bezwładna Norma; oczy mgła jej powlokła, z ust toczyła się piana, a ona kończyła życie, mając przed oczyma obraz dzieci, zostawionych bez opieki pod płotem ogrodu.

Ze stajen dolatywały głosy ludzkie, słychać było, jak konie żują owies, chrzęszczą łańcuszkami uzd; z za parkanu rozlegało się oszczekiwanie psów swawolących po trawnikach. Z wnętrza śmietnika powyłaziły szare szczury, ostrożnie zbliżyły się do konającej Normy, szybko poruszając wąsami i topiąc w niej swe małe, przenikliwe oczka...

Spojrziała ostatni raz w jasne słońce, drgnęła i szczury zniknęły w kryjówkach. Po chwili ukazała się na śmietniku wielka liczba szczurów; wszystkie szły śmiało do Normy, która już nie żyła.



W „Książkach Ciekawych“ wydano  
dotychczas:

Zeromskiego Stefana — „W Sidłach Niedoli“  
Wierzbńskiego Macieja — „Siostra Felicja“  
Filochowskiego Wacława — „Amulet Oziryasa“  
France'a Anatola — „Święty Satyr“  
Wellsa, Lyttona, Kiplinga — „Niesamowite  
opowieści“

Gobineau J. A. — „Gamber-Ali“  
Ligockiego Edwarda — „Komandor Sidi Nu  
man zu Stollberg“

Grabowskiego Okszy Ignacego — „Granun  
Salis“

Daniłowskiego Gustawa — „Nad Urwiskiem“

W przygotowaniu.

Teffi — „Kobieta Demoniczna.“  
Perzyńskiego Włodzimierza — „Okazja“  
Gogola Mikołaja — Wj  
Hoffmanna — Panna de Scudery

Wydawca  
Feliks Gadomski

Redaktor  
Stanisław Miłaszewski



3490

